W NUMERZE: Rozmowa z prof. Bolesławem Lewickim i reżyserem Wojciechem Fiwkiem ■ Dalszy ciąg notatnika festiwalowego – Cuba 78 ■ Kryptonim „RT" – odcinek drugi ■ Dialog na temat Filharmonii Łódzkiej ■ Kulisy życia politycznego Wielkiej Brytanii ■ Sport ■ Recenzje ■ Felietony

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 38 (1084) ROK XXI | 17 WRZEŚNIA 1978 R. | CENA 3 ZŁ

Foto: W. Parys

RYSZARD BINKOWSKI

KRYPTONIM „RT" (II)

CIERNISTY SZLAK

CZYTAJ NA STRONIE 7

„ŻEBY WIEDZIEĆ, TRZEBA WIDZIEĆ"

Z prof. BOLESŁAWEM W. LEWICKIM rozmawia Władysław Orłowski

Prof. dr BOLESŁAW WŁODZIMIERZ LEWICKI, teoretyk filmu, krytyk i pedagog; 1931 — magister filozofii UJK we Lwowie, 1938 — doktor filozofii; uczestnik działań wojennych we wrześniu 1939, więzień obozów koncentracyjnych; po wojnie zamieszkały w Łodzi, od 1947 r. wykłada na Uniwersytecie Łódzkim i w Wyższej Szkole Filmowej, od 1956 r. docent, od 1970 — profesor nadzwyczajny na Uniwersytecie Łódzkim; w latach 1968—1971 — rektor Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera; w latach 1973—1978 dyrektor Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ; członek Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, Komitetu Nauk o Sztuce PAN, Rady Naukowej Instytutu Sztuki PAN, członek honorowy Polskiego Stowarzyszenia Filmu Naukowego; w latach 1964—1975 przewodniczący Krajowej Rady Artystycznej Kin Studyjnych; laureat nagrody indywidualnej II st. Ministra Szkolnictwa Wyższego i nagrody indywidualnej I st. Ministra Kultury i Sztuki. Ważniejsze publikacje książkowe z zakresu teorii filmu i estetyki filmowej: „Młodzież przed ekranem" (1935), „Budowa utworu filmowego" (1936), „Film w nauce i nauczaniu" (1938), „Zasady filmu naukowo-oświatowego' (1955), „Gramatyka filmu" (1959), „Wprowadzenie do wiedzy o filmie" (1964), „Scenariusz" (1970), „Wiesz jak jest" (1974), „Kino i telewizja" (1977).

— Jest Pan Profesor od lat aktywnym bojownikiem o włączenie wiedzy o filmie do programów szkolnych. Jakie motywy przyświecają Panu w tym działaniu i w jakim stopniu program przyszłej 10-latki spełnia w tym zakresie pokładane w nim nadzieje?

— Ocena przyszłego programu szkolnego od strony stopnia wprowadzenia filmoznawstwa do nauczania powszechnego jest dla mnie nieco trudna, gdyż razem z dr Ewą Nurczyńską jako dwoje filmologów łódzkich jesteśmy współautorami tego programu. A więc cokolwiek bym tu powiedział krytycznego, może to być łatwo obrócone przeciw mnie samemu. Oczywiście, mam pewne zastrzeżenia. U nas w Instytucie Literatury, Teatru i Filmu UŁ kończy się właśnie kilkuletnie badania

Dalszy ciąg na str. 3

MACIEJ ŁUKOWSKI

CUBA 78

(notatnik festiwalowy)

Kubańczycy darzyli nas zaskakującą sympatią. Już w samej wiosce dawali tego wielokrotne dowody, a było nam tym przyjemniej, że wśród obsługi wielu Kubańczyków mówiło po polsku. Odnaleźliśmy także takich, którzy studiowali w Polsce. Chcieliśmy jednak poznać ich bliżej, zobaczyć jak mieszkają.

Pierwszy nasz kontakt był trochę niespodziewany i przypadkowy. Wybraliśmy się niewielką grupą z łódzkiej delegacji aby odnaleźć osobę, z polsko-kubańskiego małżeństwa. Były to pierwsze dni festiwalu i nie posiadaliśmy jeszcze planu Hawany, który dostaliśmy w zestawie festiwalowych upominków nieco później. Ruszyliśmy więc po prostu „w miasto". Jedna z naszych łódzkich delegatek znała hiszpański, co dawało nam szansę na łatwiejsze porozumienie się z Kubańczykami. Oczywiście w takich sytuacjach najlepszym środkiem lokomocji jest „auto-stop". Bez trudu zatrzymaliśmy jakiś dostawczy samochód, który nie tylko podwiózł nas w kierunku miejsca do którego zdążaliśmy, ale zawiózł pod wskazany adres i nawet sprawdził czy nazwisko się zgadza. Tym razem jednak okazało się, że mimo takiej opieki nie załatwimy naszej sprawy. Osoba o którą nam chodziło przed miesiącem zmieniła miejsce zamieszkania. Z trudem udaje nam się dowiedzieć (w języku hiszpańskim i angielskim) jak mamy dojechać do tego nowego miejsca. I znów „okazją", dojeżdżamy na samo miejsce. To właśnie ta sympatia i uczynność Kubańczyków. Kiedy dowiadywali się że jesteśmy Polakami, miękły serca i żadna sprawa nie była trudną do załatwienia. Zupełnym zaskoczeniem był przypadek, kiedy to pewnego razu w sytuacji później kończących się zajęć na Festiwalu Filmowym musieliśmy skorzystać z taksówki i kierowca po przyjeździe do wioski nie chciał przyjąć od nas pieniędzy (zadowalając się znaczkiem festiwalowym).

Jesteśmy w biedniejszej dzielnicy Hawany. Tu nie ma wspaniałych hoteli ani wysokich wieżowców. Jest tu jednak sympatycznie i malowniczo. Palmy wtulone między niewielkimi domkami tworzą pejzaż, który trudno odnaleźć gdzie indziej. Cała Hawana została odmalowana tuż przed festiwalem. Zabieg ten był jej bardzo potrzebny, gdyż w tym klimacie wiele elewacji wymagało remontu. Teraz błękity i pastelowe odcienie żółci czy czerwieni w zestawieniu z soczystą zielenią i barwnymi kwiatami tworzą całość wspaniałą dla oka.

Rodzina kubańska do której dotarliśmy mieszkała na piętrze obszernego jednopiętrowego budynku, stojącego szczytem do ulicy, a wejścia do poszczególnych mieszkań prowadziły z bocznej galeryjki. Mieszkanie składało się z dwóch pomieszczeń wyposażonych w podstawowe sprzęty. Na centralnym miejscu stał radziecki telewizor — duma gospodarzy. Pani domu podała kawę w filiżankach mikroskopijnych wymiarów.

To był stary dom i niezamożna rodzina składająca się z pięciu osób. Po raz drugi dotarliśmy do prywatnego życia Kubańczyków już w sposób bardziej zorganizowany. Któregoś wieczoru zawieziono nas do Almar nowej dzielnicy Hawany oddalonej kilkanaście kilometrów od centrum. Spotkanie zorganizowały poszczególne Komitety Obrony Rewolucji spełniające funkcję samorządów mieszkańców. Na naszą cześć udekorowano całe osiedle różnobarwnymi światłami i papierowymi dekoracjami. Dekoracje, wykonane przez samych mieszkańców odnajdywaliśmy wszędzie. To wynik przedfestiwalowej akcji w której każdy miał wykonać festiwalową dekorację. W całym mieście widać efekt indywidualnych umiejętności, pomysłów i zapału.

W dzielnicy Almar było szczególnie dekoracyjnie. Podzieleni na kilkunastoosobowe grupy najpierw odwiedzamy mieszkańców. Tu standard jest już wysoki. Trzy-czteropokojowe mieszkania z wszelkimi wygodami. Oczywiście i tu jak i wszędzie w Hawane nie ma szyb w oknach a tylko rolety, a do przykrywania służą prześcieradła. Ale to już specyficzne wymogi klimatu.

Kubańczycy są bardzo serdeczni. Pokazują nam wszystko co może

Dalszy ciąg na str. 5

KRONIKA KULTURALNA

W dniach od 20 do 24 września br. odbywać się będzie w Łodzi 31 MIĘDZYNARODOWY KONKURS I KONGRES AKORDEONOWY. Polska po raz pierwszy jest organizatorem tej imprezy. Tym większy zaszczyt że właśnie Łódź będzie miejscem spotkania uczestników z 24 państw, w tym m.in. Kanady, Australii i Nowej Zelandii. Na sam konkurs zgłoszono 26 kandydatów z 18 krajów, wśród nich dwóch Polaków (Ryszard Bryja z Warszawy i Włodzimierz Łukaszczyk z Wrocławia) Organizatorami imprezy są: Stowarzyszenie Akordeonistów Polskich, będące jednym ze współzałożycieli Confederation Internationale des Accordeonistes (1935 r. w Paryżu) i Federacja Stowarzyszeń Kulturalnych woj. miejskiego łódzkiego. Poza solistami uczestniczącymi w konkursie (w Teatrze Muzycznym) wystąpi szereg znakomitych zespołów. Światowy kongres akordeonistów odbędzie się 23 września, zaś na koncert laureatów organizatorzy zapraszają 24 września do sali Teatru Wielkiego.

* * *

W tym roku jubileusze wieloletniej pracy twórczej obchodzą m.in. dwaj znani łódzcy pisarze: Leon GOMOLICKI i Jan HUSZCZA. W grupie 29 pisarzy polskich wzięli oni niedawno udział w spotkaniu jubilatów z ministrem kultury i sztuki — Zygmuntem Najdowskim, który w imieniu władz partyjnych i państwowych serdecznie podziękował pisarzom za ich wkład w rozwój polskiej literatury i kultury oraz złożył życzenia dalszych lat owocnej pracy.

* * *

8 września odbyła się jubileuszowa uroczystość Leona Gomolickiego (75 rocznica urodzin oraz 60-lecie pracy twórczej). Z tej okazji w siedzibie Oddziału Łódzkiego ZLP wręczono pisarzowi-jubilatowi listy gratulacyjne od I sekretarza KŁ PZPR, Bolesława Koperskiego i ministra kultury i sztuki.

* * *

Trwają prace budowlane w Łódzkim Domu Kultury. Zaplanowana jest całkowita przebudowa piwnic, parteru, wymiana instalacji w starej części budynku i budowa dwóch nowych skrzydeł. Powstaną m.in. nowa sala widowiskowa, studio nagrań dźwiękowych, sale wystawowe, tzw. ciąg filmowy, pracownie plastyczne oraz sklep z artykułami użytku kulturalnego. Udostępni się również publiczności salę kolumnową, sala kinowa przejmie dodatkowo funkcję sali widowiskowej, poprawia się także warunki pracy biblioteki. Budowę, której koszt wyniesie około 40 mln złotych, przewidziano na około 5 lat. Mamy jednak nadzieję, że budowlani skrócą planowany termin.

* * *

Dwoma koncertami w dniach 8 i 9 września zainaugurowała sezon Filharmonia Łódzka. Tegoroczny kalendarz koncertowy PFŁ prezentuje się atrakcyjnie. 60-lecie państwowości polskiej zespół uczci wielkim koncertem, na którym zaprezentuje poemat symfoniczny M. Karłowicza „Odrodzenie" w audycji słowno-muzycznej wg scenariusza H. Czyża. 10 sonat skrzypcowych Beethovena usłyszymy w cyklu trzech koncertów W. Wilkomirskiej i T. Chmielewskiego. Przyjadą do Łodzi świetne zespoły z NRD: „Thomanerchor" z Lipska i „Bachorchester" z Drezna, orkiestra symfoniczna z Plowdiw, znani soliści i dyrygenci: Paleczny, Kulka, Salwarowski, Magin, Ringeissen, Kremer, Katlewicz i inni. Łódzcy filharmonicy skorzystają również z kolejnego zaproszenia do Amalfi we Włoszech, a także wystąpią w Gruzji i Francji.

* * *

W dniach od 5 do 10 września odbywały się tradycyjne VIII PABIANICKIE DNI KULTURY. Szczególnie dużo atrakcji przewidziano zwłaszcza na dwa ostatnie dni. W sobotę 9 września trwał Dzień Młodości (Sejmik Kultury FSZMP, Korowód Młodości), a w niedzielę bawiono się na festynie (pod hasłem „Kochajmy się"). Czynne były również cztery wystawy: muzyczna, książki, starości i rzeźb artystów-amatorów.

* * *

Wznawia działalność Małe Studium Dziennikarstwa i Wiedzy o Prasie działające przy ZŁ ZSMP. Podczas zajęć słuchacze studium będą zdobywać wiadomości z dziedziny warsztatu dziennikarskiego, poznają nowoczesne metody propagandy prasowej, radiowej i telewizyjnej, co może być przydatne do pracy w gazetach zakładowych, radiowęzłach i przy egzaminach na studia dziennikarskie. Wykładowcami w studium są znani łódzcy dziennikarze.

* * *

Stowarzyszenie „Dom Środowisk Twórczych" zainaugurowało działalność w sezonie 1978/79 widowiskiem poetycko-muzycznym „Ptaki niedorosłe" wg K. K. Baczyńskiego.

Wykonawcami byli aktorzy Teatru im. W. Bogusławskiego z Kalisza, którego dyrektorem jest prodziekan Wydziału Aktorskiego łódzkiej PWSFTviT Waldemar Wilhelm. Scenariusz i reżyseria widowiska — Jacek Chmielnik.

* * *

Rozszerza działalność bałucki Młodzieżowy Dom Kultury. Powstało „Kino dla rodziców" poświęcone problemom wychowania dzieci i młodzieży. Działają również: klub dziecięcy, Studio Piosenki (przeniesione z Pałacu Młodzieży) i Sekcja Turystyczno-Krajoznawcza, prezentując ciekawe formy kulturalnej rozrywki i wypoczynku.

* * *

W rewii zatytułowanej „50 lat dookoła świata" wystąpił na początku września w Łodzi znany i lubiany piosenkarz Mieczysław Fogg. Towarzyszyło mu na estradzie pięć pań, nie licząc członkiń zespołu instrumentalno-wokalnego „Baby".

* * *

WZKR w Łodzi oraz „Cepelia" były organizatorami interesującej wystawy 32 artystycznych wieńców dożynkowych na łódzkim Starym Rynku. Wieńce wykonały rolniczki z województwa miejskiego łódzkiego. I nagrodę w konkursie zdobyło Koło Gospodyń Wiejskich z Nowosolnej.

* * *

Godną uwagi różnicę poglądów wykazały ostatnio trzy łódzkie gazety codzienne podając 8 września trzy różne programy telewizyjne po „Wieczorze z dziennikiem". „GR" proponował na I programie „Kapitana z „Oriona" i koncert z okazji 150 rocznicy śmierci F. Schuberta. „DP" odwrotnie: najpierw koncert, potem... KUF z „Absolwentem" — filmem prod. USA. Jeszcze innego zdania był „Express" proponując między dwoma dziennikami tylko „Absolwenta". Nie mniejszą różnicę zdań wykazały: „GR" i „Express" z jednej, a „DP" z drugiej strony — w kwestii układu programu II...

W dniach 9 i 10 września odbyły się Świętokrzyskie Dni Kultury na terenie województwa kieleckiego. M. in. z tej okazji odbyło się posiedzenie wyjazdowe łódzkiego Zarządu Oddziału ZLP w Kielcach, w którym wzięli udział członkowie kieleckiego środowiska literackiego (Klubu Literackiego, KKMP, Unii Pisarzy-Medyków), a także przedstawiciele Wydawnictwa Łódzkiego i łódzkiego oddziału KAW. W dyskusji omówiono aktualną sytuację środowiska literackiego oraz kierunki działania na rzecz dalszego rozwoju kieleckiego ruchu literackiego. Pisarze łódzcy wzięli także udział w kilkunastu spotkaniach autorskich na terenie placówek kulturalnych Kielc, w kiermaszu książki, a także spotkali się z sekretarzem KW PZPR w Kielcach, tow. Barbarą Dubińską.

WIKTOR LEBRIN

WSPOMNIENIA SEKRETARZA TOŁSTOJA

Skończyłem pięć lat, kiedy matka wywiozła mnie z Paryża do Rosji, w głąb Turkiestanu, gdzie pracował mój ojciec. Został zaproszony do Rosji przez jedną z francuskich kompanii budujących tam drogę żelazną. Później przenieśliśmy się na Daleki Wschód.

Im było bliżej do skończenia kursu gimnazjalnego, tym bardziej zastanawiałem się: czemu się poświęcić? I oto pewnego razu udało mi się zaznajomić z utworami Lwa Tołstoja. Wielki pisarz przyciągnął mnie do siebie na zawsze.

Nastąpiło to wiosną 1899 roku, zaraz po śmierci mego ojca.

Czytałem wiele od dzieciństwa. Uwielbiałem wdzięk języka rosyjskiego. Potem stało się moją zasadą czytanie wszystkich rosyjskich pisarzy, tom po tomie. Po Leskowie wziąłem się za Tołstoja. Był to XIII tom dzieł wszystkich pisarzy. Dwanaście poprzednich tomów zostało już przeczytane i za jedyny w swoim rodzaju i niezapomniany świat charakterów „Wojny i pokoju", za zadziwiające obrazy przyrody, polowych prac i polowania w „Annie Kareninie" a szczególnie za pedagogiczne eseje, które na tle zatęchłego, carskiego gimnazjum były dla mnie promieniem światła, zakochałem się w autorze.

I oto, ledwie utraciwszy ojca, obrałem sobie duchowego przewodnika. Po długich wahaniach zdecydowałem się napisać do Tołstoja. Lew Nikołajewicz odpowiedział mi. Dwudziestego ósmego listopada 1899 roku dostałem list od wielkiego pisarza. Pisał:

„Nieznany młody, miły przyjacielu, otrzymałem list pański w czasie, gdy leżę chory w pościeli, ale mimo wszystko chcę, choćby w kilku zdaniach, odpowiedzieć panu, tak jest, ten list pański, serdeczny...".

Byłem w siódmym niebie.

Twardo zdecydowałem machnąć się do Jasnej Polany. „Chociaż pooddycham jednym powietrzem z Tołstojem". I oto wczesnym rankiem, ledwie zdążyło wzejść słońce, wysiadłem na przystanku kolejowym Jasenki, jakieś sześć kilometrów od Jasnej Polany. Drżałem jak listek osiki z emocji i strachu przed spotkaniem. A tu jeszcze rozszalała się ulewa i zmoczyła mnie od stóp do głów.

„A to w dobrym stanie zjawię się przed Lwem Nikołajewiczem" — pomyślałem, podchodząc do zagrody. I mimo wszystko postanowiłem wyschnąć trochę, a potem zapukać. Siadłem na ławce, wyciągnąłem nogi, patrzę przez na wpół opuszczone powieki na rozwalające się od wody pantofle, grzeję się, dobieram słowa, które powiem, kiedy zobaczę Tołstoja. I nagle czuję, że ktoś stoi przede mną. Otwieram oczy: wysoka postać w szarym kaftanie z żaglowego płótna, długa, rozdwojona broda. Nieduże szare oczy z napiętą uwagą wpatrują się we mnie. Jakaś niewiarygodna siła poderwała mnie na nogi. Ukłoniłem się.

— Nie wiem, kim pan jest — odpowiada Lew Nikołajewicz przyjemnym, głębokim głosem, w którym wyraźnie słychać nutkę zmęczenia.

Upadając na duchu i będąc zmieszanym przedstawiam się dodając:

— Pisałem do pana...

Tołstoj uśmiechnął się i wziął mnie pod rękę. Weszliśmy do domu. Poznałem po książkach znajome sprzęty. Stare ciężkie sklepienia, okna znajdujące się wyżej od wzrostu ludzkiego, ściany grube na metr. W kącie stała kosa i łopata, na ścianie wisiała piła.

Lew Nikołajewicz poprosił, żeby zaczekać na niego i wyszedł. Oglądałem książki, sprzęty i nie słyszałem, kiedy wrócił. Tołstoj, jak gościnny gospodarz, powiódł mnie na śniadanie. Przy stole zapytał, ile mam lat, czy dawno czytam jego książki?

— Więcej niż od roku — przyznałem się.

— No i co? Pańskie poglądy zmieniły się od tamtej pory?

Pomilczawszy powiedziałem, że stałem się ogromnie niezadowolony z siebie.

— To i dobrze, i źle — odpowiedział Lew Nikołajewicz i zaczął pytać o moje życiowe plany. Słuchał uważnie, nie przerywając, a kiedy dowiedział się, że chcę uprawiać ziemię, pochwalił. Sam bardzo lubił pracować na roli. Miał już sporo ponad sześćdziesiąt, kiedy stawał za pługiem, orał, siał, młócił...

Latem 1906 roku często odwiedzałem Jasną Polanę. Lecz wkrótce Zofia Andrejewna, żona Lwa Tołstoja zapytała, czy nie zgodziłbym się osiąść u nich na stałe, żeby przepisywać cały monumentalny dziennik Lwa Nikołajewicza.

Ale Tołstoj nie wyraził zgody na propozycję żony. Stwierdził, że jego dzienniki doskonale mogą pozostać w tym stanie, w jakim się znajdują. Że jest to sprawa mająca bardzo znikome znaczenie. I, że wreszcie, podobne czytanie mogłoby mieć demoralizujący wpływ na takiego młodego człowieka jak ja...

W ten sposób, zamiast przepisywania dzienników, przypadły mi obowiązki osobistego sekretarza. Umieszczono mnie na dole, w pokoju syna Tołstoja Andrzeja Lwowicza, który był nie zajęty.

Przede wszystkim ogromnie mnie zdziwiło, że światowej sławy pisarz nie miał nigdy prawdziwego, płatnego sekretarza.

Gdy tymczasem już sama korespondencja przedstawiała znaczną pracę. Były dni, kiedy przychodziło nawet piętnaście listów.

Te listy, nadchodzące do Jasnej ze wszystkich stron świata, zostawiły we mnie głęboki ślad. Większa część miała bardzo intymny charakter. Dusze otwierały się do czującego serca ulubionego autora. Ludzie pytali go o zdanie albo radę. Dotyczyło to wydarzeń strasznych albo dramatycznych, z których trzeba było znaleźć wyjście. Albo wątpliwości w zagadnieniach wiary i moralności.

Prócz odpowiedzi na listy, obowiązany byłem jeszcze układać i wysyłać paczki z książkami. Codziennie proszono o nie Tołstoja i zgodnie z jego wskazówkami miałem dobierać przesyłki.

Książka adresowa nie istniała i zdecydowałem się zacząć ją układać. Prócz tego zdarzało się mi robić wyciągi z książek albo uczestniczyć w pośpiesznym przypisywaniu dużych rękopisów.

W Tołstoju, którego miałem teraz szczęście obserwować z bliska, uderzyły mnie przede wszystkim trzy cechy. Po pierwsze, jego niezwykła skromność, subtelna delikatność i miękkość w obejściu. Po drugie, prawdziwie pustelnicza żarliwość, z jaką opracowywał swoje pisma. Po trzecie, jego niezwykła pracowitość. Miałem okazję obserwować wiele ludzi, ale Tołstoj był jedynym człowiekiem, w stosunkach z którym ani razu nie poczułem zakłopotania. Nie zważając na moją młodość, nieustannie się usprawiedliwiał, kiedy mnie przywoływał, a jeśli coś polecał, zawsze wypowiadał: „Może pan będzie łaskaw". Niekiedy, gdy prosił o znalezienie i przyniesienie książki, mówił: „Niech pan ma wzgląd na moją starość".

Przepracowywał i przepisywał swoje rękopisy nieskończoną ilość razy.

Zdumiewały mnie i dziwiły wytrzymałość i pracowitość Lwa Nikołajewicza. Pracowałem tylko o jakieś trzy godziny więcej od niego i już pod koniec trzeciego miesiąca poczułem, że siły mnie opuściły. A on miał już w tym czasie siedemdziesiąt osiem lat.

Domowe życie pisarza było bardziej niż jednostajne.

Wczesnym rankiem, kiedy w ogromnym domu jeszcze panowała cisza, zawsze można było zobaczyć Tołstoja na podwórku z dzbankiem i dużym wiadrem, które z wysiłkiem znosił po czarnych schodach. Wylawszy pomyje i nabrawszy do dzbana świeżej wody, wspina się do siebie i myje. Zgodnie ze swym wiejskim nawykiem wstawałem o świcie i sadowiłem się w kąciku małego salonu do własnej pisaniny. Z promieniami słońca, wznoszącego się nad wiekowymi lipami i zalewającego pokój, zwykle otwierały się drzwi gabinetu i na progu pojawiał się Lew Nikołajewicz, świeży i rześki.

— Szczęść Boże — mówił do mnie uśmiechając się łagodnie i silnie kiwając głową, abym nie odrywał się od zajęć. Skradając się, aby nie być zauważonym przez trafiających się nierzadko wczesnych gości i rozmową nie przerywać wątku swych myśli, przedostawał się do ogrodu. W dużej kieszeni jego bluzy zawsze był notes. Po godzinie, niekiedy wcześniej, wracał, przynosząc na swym ubraniu zapach pól i lasów i szybko przechodził do gabinetu, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Niekiedy, gdy znajdowaliśmy się tylko we dwóch w maleńkim salonie, patrząc na mnie uważnie dzielił się tym, o czym myślał spacerując.

Pewnego razu wrócił z porannej przechadzki cichy, spokojny, promienny. Położył obie dłonie na moich ramionach i patrząc mi w oczy, przemówił uduchowiony:

— Jakże piękna, jak zdumiewająca jest starość. Nie ma się ani pragnień, ani namiętności, ani próżności... Tak, zresztą, po cóż ja to panu mówię. Pan sam się kiedyś o tym przekona.

I jego dobre, uważne oczy, spoglądające spod opuszczonych brwi, jakby utwierdzały: „Mówię to nie dla gadania, tylko dla prawdy".

W gabinecie Tołstoj pił kawę i czytał listy, zaznaczając na kopertach, co należało odpowiedzieć albo wysłać jakie książki. Potem odsuwał tacę z zastawą i siadał do pisania. Wstawał od biurka dopiero o drugiej-trzeciej po południu, zawsze wyraźnie zmęczony. Duża sala zazwyczaj była pusta o tej porze i tam na pisarza czekało śniadanie. Najczęściej owsianka na wodzie. Zawsze ją mi wychwalał przygadując, że je ją ponad dwadzieścia pięć lat i nie przejadła mu się.

Zjadłszy śniadanie Lew Nikołajewicz wychodził do gości, bez których tylko wyjątkowo mijał dzień w Jasnej Polanie i porozmawiawszy z nimi, bliskich mu w poglądach zapraszał do pozostania, a innych obdarowywał: jednych książkami, innych dziesięciokopiejówkami, a pogorzelców z sąsiednich wsi — trzema rublami, a niekiedy i więcej w zależności od rozmiarów nieszczęścia, które się wydarzyło.

Tołstoj otrzymywał dwa tysiące rubli rocznie tantiem od cesarskich teatrów za wystawienie „Ciemnej potęgi" i „Płodów edukacji". Pieniądze te oszczędnie rozdawał często wyrażając niepokój, że nie wystarczy ich na rok. Zgodził się przyjmować je dopiero wówczas, gdy mu wyjaśniono, że w wypadku jego odmowy pieniądze te będą użytkowane na powiększenie przepychu teatru.

Rozstając się z gośćmi, co nie zawsze było łatwe, Tołstoj decydował się na dalszy spacer pieszo albo wierzchem. Konno wyjeżdżał niekiedy ponad piętnaście kilometrów. Lubił ledwie zauważalne szlaki w dużych lasach otaczających Jasną Polanę. Często jeździł do dalekich wsi: zbadać położenie chłopskich rodzin zwracających się o pomoc, pomóc żołnierce znaleźć ślady utraconego męża, ustalić wielkość ubytków spowodowanych przez pożar, uratować chłopa bezprawnie zabranego do więzienia... W drodze przyjaźnie rozmawiał z napotykanymi chłopami, lecz zawsze starannie omijał bogate wille.

Wróciwszy do domu odpoczywał z pół godziny. O szóstej jadł obiad z całą rodziną.

W dużej sali z dwoma rzędami okien, naprzeciw rodzinnych portretów w złoconych ramach, nakryty był długi stół. Koniec stołu zajmowała Zofia Andrejewna. Na lewo od niej siedział Lew Nikołajewicz. Zawsze mi wskazywał miejsce obok siebie. A ponieważ jak ja był wegetarianinem, sam delikatnie nalewał mi zupy z maleńkiej wazy, którą mu podawali, albo podsuwał mi swoje specjalne wegetariańskie danie.

Hrabina nienawidziła wegetariańskiej diety.

Przy drugim końcu stołu stali dwaj lokaje w białych rękawiczkach oczekując końca ceremonii.

Wymieniwszy parę słów z rodziną i gośćmi Tołstoj znowu oddalał się do gabinetu dokładnie zamykając drzwi małego salonu i swoje. Teraz duża sala była pełna i szumna. Grano na fortepianie, śmiano się niekiedy śpiewano. W tym czasie Tołstoj w gabinecie czytał albo pisał.

Na wieczorną herbatę, założywszy rękę za pas, Tołstoj znów pojawił się w sali. I rzadko mijał wieczór, żeby nie przyniósł jakiejś książki i nie czytał na głos najbardziej przejmujących dla niego miejsc.

Czytając Tołstoj był uduchowiony, cały przeniknięty treścią i przekazywał ją słuchaczowi. W każdym zdaniu podkreślał jedno tylko słowo: to, które miało podstawowe znaczenie. Podkreślał je jednocześnie z niezwykłą swoistą dla niego jedynego, czułością i miękkością, a zarazem mocną przenikliwością. Tołstoj nie czytał, tylko wkładał słowo do duszy słuchacza.

Zmęczony czytaniem i rozmową, Tołstoj siadał niekiedy do szachów. Bardzo rzadko, kiedy napłynęli świeccy goście, tworzył się nawet „wint". Ale o jedenastej wszyscy się rozchodzili.

Nic na świecie nie mogło zmienić tego porządku.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

WSPOMINAJĄC PRZYJACIELA — BIBLIOFILA...

Zazwyczaj wspominamy publicznie ludzi ogólnie znanych, wybitnych, zasłużonych, takich, co zapisali swoje imię w jakiejś dziedzinie życia społecznego, w nauce, w sztuce, w polityce. WACŁAW PRYT nie należy do nich. Nie osiągnął w swoim przedwcześnie zgasłym żywocie dokonań na taką miarę, jego nazwiska nie cytowano, w tym znaczeniu był na marginesie. Nie ma zatem potrzeby powoływać się na fakty z biografii, które w takim przypadku są mniej ważne, a nawet nie umiałbym ich dokładnie wymienić czy w odpowiednim porządku uszeregować. Ale dopiero splot jego czynności zawodowych z niespotykanymi w tej profesji zainteresowaniami wyznacza jego rzadko spotykany wizerunek.

Od dziesiątek lat pełnił funkcje administratora domów mieszkalnych, dla nas spod znaku bibliofilskiego bractwa był przede wszystkim animatorem, kolekcjonerem i kronikarzem ruchu miłośników ksiąg i spraw wszelakich z nim związanych. Śmierć nieodmiennie dyktuje słowa najwyższe i obliguje do wypowiadania superlatywów lecz kto stykał się z Wacławem Prytem, takie orzeczenia jak człowiek z pasją, żarliwy, żywiołowy, oddany bez reszty — nie przeinaczają jego postawy do świata rzeczy pięknie utrwalonych i zastygłych w ciągłym wzbudzających zbiorach, uzufascynowaniu. W swoich podziw pełnianych starannie przez wiele lat dzięki wytrwałym i zapobiegliwym poszukiwaniom — codzienny gość antykwariatów i księgarń! — pozostawił walory cenne i unikalne — książki, czasopisma, ulotki, ekslibrisy, obrazy, grafiki, medale. Interesowało go właściwie wszystko, co posiadało wartość dokumentu, szczególnie zaś rzeczy, upamiętniające zdarzenia z dziejów ojczystych. Najbliższe mu były dwa kręgi tematyczne, które obdarzał wprost agresywną czułością: skwapliwie kolekcjonował lodzianą oraz gromadził literaturę wszelkiego typu o pierwszej wojnie światowej i pierwszym okresie naszej niepodległości. Nabył skrawek ziemi w pobliżu cmentarza żołnierskiego z czasu walk o Łódź w końcu roku 1914. Ze zdewastowanego miejsca ostatniego spoczynku żołnierzy, Polaków, Rosjan i Niemców ocalił przed zupełnym zniszczeniem resztki płyt nagrobnych z zachowanymi jeszcze, wyrytymi w piaskowcu nazwiskami poległych: większość tych płyt służy ponoć okolicznym chłopom do celów gospodarczych. Oglądając kiedyś te literowe skróty tragicznych istnień z niezatartym do dziś wzruszeniem, napisałem wiersz o nich, opublikowany w „Odgłosach"; dedykowałem go Wacławowi Prytowi. Któż z nas tak zabieganych i wprzągniętych w mozoły codziennych prac i problemów, znalazłby czas dla takich poczynań? A przecież w tym geście wobec zapomnianych należy dostrzec wrażliwość na meandry naszej historii i tradycji. Zatrzymałem się nieco wokół tego faktu, bo w nim zawiera się to, co charakteryzowało Wacława Pryta: spontaniczność i bezinteresowność myśli i działania w imię spraw ważnych i prawdziwie ludzkich, które nie tylko odebrał z ksiąg niemal zresztą bezprzykładnie przez niego szanowanych. Stąd też wypływała jego dociekliwość w badaniu i spisywaniu wszelkich przejawów działalności bibliofilskiej, której był niespokojnym duchem i namiętnym rejestratorem.

Mówi się o zmarłych: odszedł przedwcześnie. Oczywiste to i pospolite stwierdzenie, chociaż wyraża ono żal serdeczny. Napisze inaczej: łódzkie i polskie bibliofilstwo w osobie Wacława Pryta straciło zaprzysiężonego i niezastąpionego lubownika ksiąg, bez którego nasz ruch bibliofilski będzie uboższy, a bez których nie sposób by było wyobrazić sobie życia.

STANISŁAW KASZYŃSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

„ŻEBY WIEDZIEĆ, TRZEBA WIDZIEĆ"

Dalszy ciąg ze str. 1

nad efektywnością i możliwością zastosowania pewnych elementów wiedzy o filmie w nauczaniu szkolnym. Chcę od razu stwierdzić, że w opracowanym programie 10-latki zwyciężyła reprezentowana przez nas teza ogólna, natomiast elementy szczegółowe nie są za dobre. Ogólna teza wyrasta z przekonania, że film, jak teatr, jak telewizja, nie jest dostawką do głównego nurtu kultury literackiej, czy lepiej: czytelniczej. Za naszych ojców i dziadków człowiek kulturalny był przede wszystkim czytelnikiem, a na marginesie tego chodził czasem do teatru, później do kina. Dziś to się zmienia. Człowiek współczesny jest receptorem wszystkich dóbr typu duchowego, włącznie z informacją, dydaktyką, agitacją polityczną, drogą przez ekran.

— Te zmiany dojrzewały stopniowo. Po prostu teraz zdajemy sobie coraz pełniej z nich sprawę.

— Tak, ale w burzliwy sposób oddziałała tu telewizja. Położyła ona w końcu lat pięćdziesiątych krechę na starym układzie kulturowym. Czy nam się to podoba czy nie, trzy czwarte czasu przeznaczonego na konsumpcję dóbr kulturalnych przeciętny człowiek spędza przed telewizorem. A lektura książek? Braknie na nią czasu. Ankiety przeprowadzane wśród młodzieży wykazują, że połowę lektur zna ona z radia lub telewizji. Są młodzi ludzie, podejmujący nawet studia humanistyczne, którzy nie „shańbili" się wzięciem do ręki Orzeszkowej, Balzaka, czy nawet Szekspira. Wystarcza im, że to zobaczyli na ekranie. Nie uważam tego za taką znów tragedię. Zgadzam się z Żółkiewskim, gdy twierdzi, że jeśli pozna się dobrze zrobiony przekaz literacki, to nie ma powodu, by przy utworach mniejszej wartości koniecznie wracać do ich lektury.

— Teza trochę ryzykowna. Młodzież chętnie pominie to ograniczenie do dzieł mniej wartościowych i zechce zwolnić się z czytania utworów literackich w ogóle.

— To byłoby, naturalnie, wypaczenie. Istnieją książki, które inteligentny człowiek powinien przeczytać. Wracając do programu szkolnego: postulowaliśmy w dyskusjach nad nim pewną procentowo dość pokaźną ilość sprawdzanych i ewokowanych przez szkołę kontaktów ucznia z kinem, telewizją i teatrem. Nie wiem, czy to będzie jedna szósta czy jedna piąta w stosunku do lektur. Oznacza to przyjęcie przez program szkolny poglądu, że kultura literacka — sensu strictissimo literacka! — dociera do człowieka nie tylko przez książkę, ale i drogą inną. Nasz wiek ewokował ponownie pierwotną formę literatury mówionej. Znam wybitnych humanistów, którzy znajdują kwadransik dziennie, by posłuchać przez radio „Pana Tadeusza". A więc obywamy się często bez Gutenberga, wracamy do słuchania, co nie jest kulturowo takie znów ciasne.

— Albo do oglądania w kinie, czy telewizji.

— Słuchanie i oglądanie to opozycja pozorna. Kino uważano za sztukę wyłącznie obrazu. Nieprawda! W trzech czwartych jest ono sztuką słowa, ale słowa inscenizowanego, pokazanego, uzupełnionego obrazem, czy ciągiem ikonicznym. No, a telewizja jest już w ogóle jednym wielkim gadaniem. Istotnym nośnikiem kultury, stosunków między ludźmi, stał się — mogę użyć takiego terminu — homo dicens, człowiek mówiący. Słowami, czasem gestem. Człowiek, który nam coś komunikuje, albo do czegoś zachęca, albo nam grozi, albo z nami w czymś współuczestniczy — to jest nośnik podstawowy, nie znamy lepszego. Książka ze swoją anonimowością i masowością zagubiła gdzieś ten kontakt. Autor jest dla nas persona ignota, albo demiurgiem, osobą znaną tylko z legend. Telewizja przywraca bezpośredni kontakt: widzimy człowieka, który do nas mówi, redaguje na żywo gazetę (Dziennik TV), informuje.

— Osobiście wolę jednak czytać Kuśniewicza, niż go słuchać i oglądać.

— Pozornie tylko mi pan zaprzecza. Kultura literacka z ekranu wytyczyła znakomicie granice tej prawdziwej literatury, którą warto i należy czytać. Kuśniewicz, Cortazar, Dostojewski zyskują tylko na tym. Ich się czyta i będzie czytać. Nie zmienia to faktu, że w każdej dziedzinie opanowanej dotąd przez książkę istnieje konieczna alternatywa w znaczeniu oboczności: rzecz pisana, lub rzecz pokazywana przez ekran. I powieść, i dramat, i prasa, i nauczanie, i agitacja polityczna, posiadają swoją drugą formę w postaci ekranowej. Jeżeli wdrażamy szkołę w tę drugą formę istnienia kultury, dopuszczając pewną konkurencję ze słowem pisanym, to nie godzimy w miłość do książki. Chcemy tylko, by nie lekceważyć wskazanej tu alternatywy. To jest nasz wkład do reformy nauczania. Ale żebyśmy nie popadali w łatwy optymizm: przy programie lektur szkolnych zamieszczono wykaz filmów obowiązkowych dla ucznia, względnie pożądanych.

— To brzmi groźnie. Jeden krok od tego, by parafrazując Gombrowicza, zadawać uczniowi pytanie: za co powinniśmy kochać René Claira, Bunuela, czy Wajdę?

— Niebezpieczeństwo takie istnieje, ale może nie będzie z tym tak źle. Trudność polega na czymś innym. Chodzi o dziesięciolatkę. Co zrobić, żeby te najbardziej znaczące filmy zobaczyła nie tylko Łódź, Kielce, Olsztyn, ale także jakaś Głucha Dolna, czy Sromowce Wyżne? Ministerstwo wyobraża sobie, że wykona się x kopii, potworzy filmoteki przy kuratoriach i te będą wypożyczać szkołom. Zważywszy ilość szkół w kraju, uważam, że sprawy nie da się technicznie rozwiązać bez udziału telewizji. Jej zaś trochę się boję, bo zwykła działać dość kapryśnie i samowolnie. Skuteczne byłoby jedynie nałożenie na telewizję obowiązku wyświetlania w określonych terminach w godzinach przedpołudniowych klasyki filmowej obowiązującej ucznia. Wystarczy jakieś 15 tytułów, ale ta piętnastka m u s i być dostarczona wszędzie, a to rozwiązać mogą tylko łącza telewizyjne. W grę powinien wejść nakaz państwowy, obowiązek, a nie robienie łaski. Na załatwienie tego mamy niewiele czasu. Trzy lata.

— Od tych jakże ważnych spraw dydaktyki szkolnej przejdźmy do filmologii. Jaka jest jej sytuacja w Polsce?

— Film stał się przedmiotem kształcenia uniwersyteckiego w Łodzi i nie tylko w Łodzi. W ciągu 20 lat wyzwoliliśmy tych kilkuset magistrów filmoznawstwa, mamy kilkudziesięciu doktorów i kilku docentów habilitowanych. Filmoznawstwo stało sę dyscypliną w sposób dość nieoczekiwany w momencie rozpoczęcia w Polsce studiów kulturoznawczych. Łodzi zezwolono na eksperyment, który realizuje się już trzeci rok: prowadzenie pod nazwą kulturoznawstwa studiów filmoznawczych i teatrologicznych. Trzeba tu wyjaśnić, jaki charakter i kierunek mają badania filmoznawcze. Dawniej obejmowano nimi całość kultury filmowej. A więc film jako sztuka, taka jak teatr, plastyka, czy muzyka. W tej chwili badania filmoznawcze dotyczą samego języka filmowego oraz wszystkich konsekwencji psychologicznych, recepcyjnych, zrozumieniowych, ogólnokulturowych. Słowem film jako alternatywa słowa pisanego, o czym mówiliśmy poprzednio. Dlatego nie zajmujemy się wyłącznie filmem artystycznym, ale także filmem informacyjnym, naukowym, politycznym. A więc na pierwszy plan wysuwa się zagadnienie filmu jako swoistego języka, zagadnienie jego funkcjonalności, typów odbioru nie tylko emocjonalnego, ale i intelektualnego. Awicenna powiedział: „Żeby wiedzieć, trzeba widzieć". On był lekarzem, a lekarz i biolog musi widzieć, ale sądzę, że każdy współczesny człowiek przy ścisłych kategoriach naszej wiedzy o świecie powinien zobaczyć, aby zrozumieć związki różnych zjawisk.

— Widzę już tytuł naszej rozmowy. Podsuflował nam Awicenna.

— Być może. A teraz co do stanu filmoznawstwa polskiego. Istnieją 3 bardzo mocne ośrodki: Warszawa, Łódź i najmłodszy, ale prężny ośrodek śląski prowadzony przez doc. Alicję Helman. Warszawa to cały zespół ludzi, chęściowo przy uniwersytecie, częściowo zgrupowanych wokół prof. Jackiewicza w Instytucie Sztuki PAN. Zajmują się historią, trochę teorią, trochę socjologią filmu. Wciąż tkwią jednak jeszcze przy dawnym rozumieniu filmu, jako sztuki. Badania nad funkcjonalnością naukową i nauczającą filmu przejął ośrodek poznański (prof. Leja, doc. Strykowski). Ośrodek śląski poza dobrym sektorem historycznym (dr Banaszkiewicz) jest trochę sformalizowany, ściśle semiotyczny, strukturalistyczny. Jest to pewna młodzieńcza choroba, nadmierne tkwienie w tzw. pansemiotyzmie, z którego cały świat trochę się wycofuje. Łódź, która miała prymat w filmoznawstwie, chyba go nie straciła. Tu jest przecież Szkoła Filmowa ze swym ciekawym sektorem teoretycznym i historycznym. Nasz Instytut uniwersytecki nastawiony jest na punkt widzenia ogólnokulturowy. Badanie sztuki filmowej pozostaje jednak i dla nas najważniejsze, gdyż nic tak nie atakuje świadomości pokoleń jak właśnie sztuka. Jest jeszcze ośrodek filmoznawczy w Krakowie (dr Wyszyński), w Gdańsku (dr Habryn), w Lublinie (dr Plisiecki). Jest to trochę rozdrobnione, krystalizacja idzie w kierunku obejmowania badaniami wszystkich zjawisk filmowych z dużym naciskiem na to, by nie stracić kontaktu z żywym nurtem sztuki filmowej.

— Tu blisko jesteśmy spraw krytyki filmowej.

— Conrad-Korzeniowski nazwał kiedyś ładnie krytykę „przygodami duszy w lesie dzieł sztuki". Jest ona ważnym czynnikiem współtworzącym sztukę, byle nie była mentorska, zakazująca, nakazująca.

— Chodzi o to, by krytyk nie spełniał roli owczarka, zapędzającego do stada pojedyncze sztuki, które się od niego oddaliły.

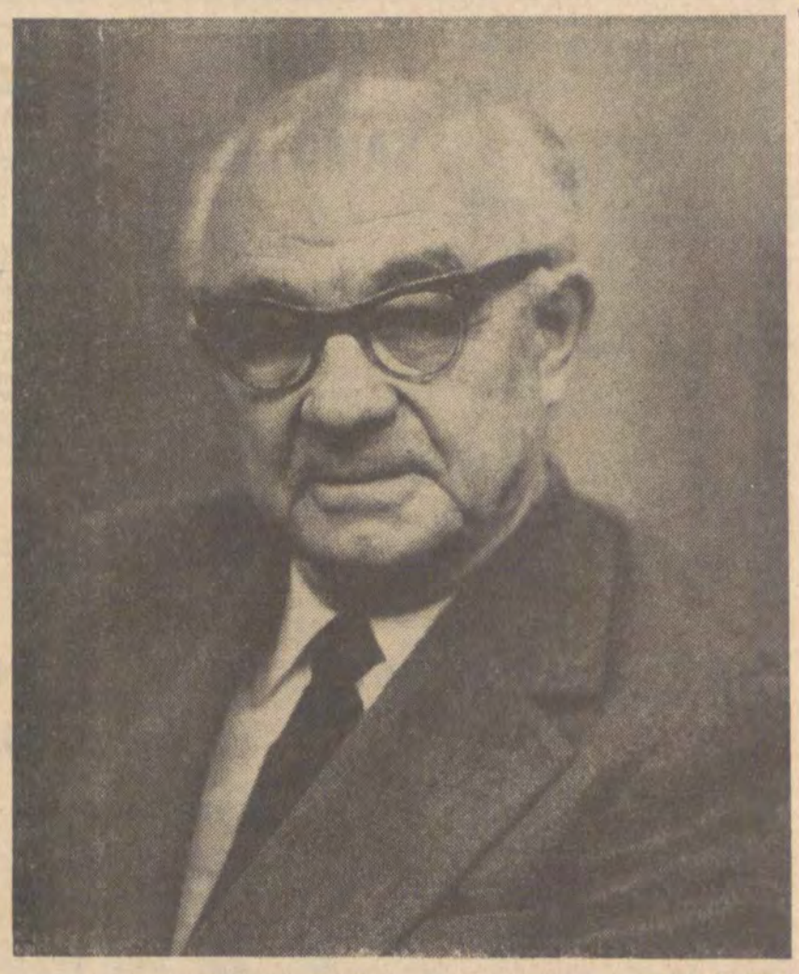

Foto: W. Parys

— Właśnie. Krytyka „owczarska", która napędza kogoś do czegoś nie jest lubiana. A jeżeli nawet krytyk żartobliwie udaje owczarka, to musi to robić z wdziękiem, jak w muzyce Waldorff. W zasadzie krytyka, w tym także krytyka filmowa, powinna być odbiciem przygód recenzenta, jego własnych reakcji.

— A jak Pan ocenia obecną sytuację w polskim filmie fabularnym? Pytanie aktualne w okresie festiwalu w Gdańsku.

— I trochę trudne. Dzieje polskiej twórczości filmowej to parę dzieł, które podobały się, wydawały się coś znaczyć. Łączyły się one z nazwiskami reżyserów. Ostatnio po długim milczeniu odezwał się ze swoją perfekcją Kawalerowicz. Znowu daje o sobie znać Zanussi. Nie chcę żonglować nazwiskami. Zaistniały pewne perturbacje w przyjęciu takich filmów, jak „Człowiek z marmuru" i „Barwy ochronne" — z jednej strony opory, z drugiej demonstracyjny aplauz. Sytuacja ta każe zastanowić się nad problemami przystawalności sztuki filmowej do danego momentu wrażliwości społecznej. Coraz częściej wkracza się w sprawy drażliwe, pozafilmowe, aktualne. Natomiast co mnie dziwi, czy zaskakuje w dzisiejszej kinematografii polskiej, to niewyważenie granicy między dobrą robotą artystyczną i ową wspomnianą aktualnością. Filmy są coraz bardziej problemowe — wymienię tu jeden tylko tytuł: „Personel" Kieślowskiego — ale w sensie trochę lepszej gazety, lepszej trybuny problemików społecznych. Filmy są robione poprawnie, ale nierewelacyjnie. W dodatku ludzie wszędzie węszą aluzje.

— Przykład „Wodzireja" Falka.

— Oczywiście. Chcesz zdobyć jakieś stanowisko, to, wio!, po trupach. Ludzie łatwo wychwytują intencje reżysera, że nie chodzi mu tylko o konferansjera estradowego. Cała sfera doszukiwania się aluzji i kokietowania nią związana jest nie tyle z subtelnością tworzenia i odczytywania sztuki, ile z pewną chorobą przejściowego okresu. Nie można we wszystkim widzieć aluzję. I „Elektra", i „Skąpiec" są z natury rzeczy wielkimi metaforami artystycznymi. Wielka przenośnia jest cechą każdej wielkiej sztuki, ale — u Boga-Ojca! — nie szukajmy aluzji w każdym produkcyjniaku, w każdej dowcipnie opowiedzianej anegdocie!

— Pozwolę sobie dodać: i nie przeceniajmy sukcesów zbudowanych wyłącznie na aluzji!

— Boję się, że polska sztuka filmowa — pomińmy głupawe farsy! — ulega ciągle manii budowania świata, albo podpierania dobrego samopoczucia narodowego. Nie budujmy świata na nowo! Dzieło sztuki musi być dobrze skonstruowane. Byle bzdura amerykańska reprezentuje rzemiosło bez zarzutu. Sądzę, że Falk jest znakomitym rzemieślnikiem. Idzie śladem Piwowskiego. Ostatnio obserwuje się wzmożone zainteresowanie okresem międzywojennym. Kawalerowicz zrobił film o Narutowiczu. Filipski kręci przewrót majowy. Boję się, że robi się filmy dla tematu. Gdzie tu miejsce dla sztuki?

— „Śmierć prezydenta" stwarzała okazję do wielkiego spietrzenia dramatycznego. Cała tragedia Narutowicza rozegrała się w ciągu 7 dni.

— Tak. Trudniejsze zadanie ma Poręba, podejmując swój nowy film „Polonia Restituta", poświęcony odzyskaniu niepodległości Polski w 1918 roku. Jakże skomplikowane procesy trzeba przy tej okazji pokazać! Jak trudna będzie selekcja i reprezentatywność ukazywanych na ekranie faktów!

— Na efekt będziemy czekali. Domyślam się, że Pan Profesor nie patrzy mimo wszystko na przyszłość naszej kinematografii pesymistycznie. Mamy sporo zdolnej młodzieży. To jest zawsze krzepiące. Czy moglibyśmy przejść teraz do pytania o osobistą pracę Pana?

— W skrócie. Przechodzę właśnie na nowy etap życia. Z początkiem roku akademickiego przechodzę na emeryturę. Nie zrywam z dydaktyką, zachowuję kontakt z Uniwersytetem Gdańskim, w Łodzi będę prowadzić jedną grupę magistrów. Ale gros wysiłku poświęcę pisaniu. W tej chwili kończę książkę „Teoria zjawiska ekranowego". Będzie to próba z zakresu językoznawstwa filmowego. Zjawisko ekranowe jako obsługujące wiele dziedzin, a więc rzecz ponadartystyczna. Z E. Nurczyńską kończymy pracę nad „Filmem w szkole", po czym biorę się za pracę zespołową na temat analityki dzieła filmowego. Chcę uściślić reguły techniczne analizy, dać jej przykłady, włączając różnych autorów podchodzących do dzieła filmowego z odmiennych punktów widzenia. Musimy ciągle uczyć się właściwego czytania dzieła filmowego. Zwykle czytamy je po literacku, tzn. kierując się intencjami, paradygmatami dramaturgicznymi, albo po teatralnemu: kreacja, wystawa, gra aktorska, komparsi, dekorcje, albo wreszcie oceniamy słuszność czy niesłuszność polityczną. Historyk sztuki odpowie nam na to: Maneta trzeba czytać jako Maneta, a nie jako obrazującego obyczaje francuskie z przełomu wieków; Rembrandta jako Rembrandta. Uczenie się czytania filmu jako filmu jest moim zdaniem konieczne. Film proponuje nową, ścisłą metodę analizy życia. Biolog wie, że kamera może mu zanalizować zjawisko w taki sposób, że tam znajdą się rzeczy wymykające się nazwie, których nie ma w słowniku, a nawet w umyśle. Dla zjawisk tych trzeba znaleźć określniki. Nasza epoka, audiowizji, ekranu, uczy nas specyficznego widzenia świata. W dalekiej przeszłości usiłowano tłumaczyć jego zagadki przy pomocy magii. W epoce Descartes'a — a zaczął to Kopernik — narzędziem poznania miał być samotny umysł ludzki. Analiza rzeczywistości przez kalkulację. To już mamy za sobą, choć emocjonalnie jestem kartezjaninem...

— Tamtą epokę zamknął Einstein.

— Dziś wiemy, że trop koncepcyjny jest zaczęciem drogi. Ale to empirium, którego nam uzbrojonym w kamerę filmową dostarcza świat, jest niczym nie zastąpione. Dla mnie symbolicznym momentem w historii filmu, mimo że nie mieszczącym się w obrębie sztuki filmowej, było nadanie w dniu 21 lipca 1969 roku bezpośredniego, zarejestrowanego automatyczną kamerą, seansu z lądowania Neilla i Armstronga na Księżycu. Pokazało się, że ludzkość posiadła pewien instrument samorzutny, automatyczny, który nam przekazuje w szczególny sposób wiedzę o świecie. Człowiek nakierowuje kamerę i człowiek odczytuje rewelacje z ekranu. Chciałbym w książce swojej analizę filmową rozszerzyć także na zjawiska humanistyczne.

— Dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę.

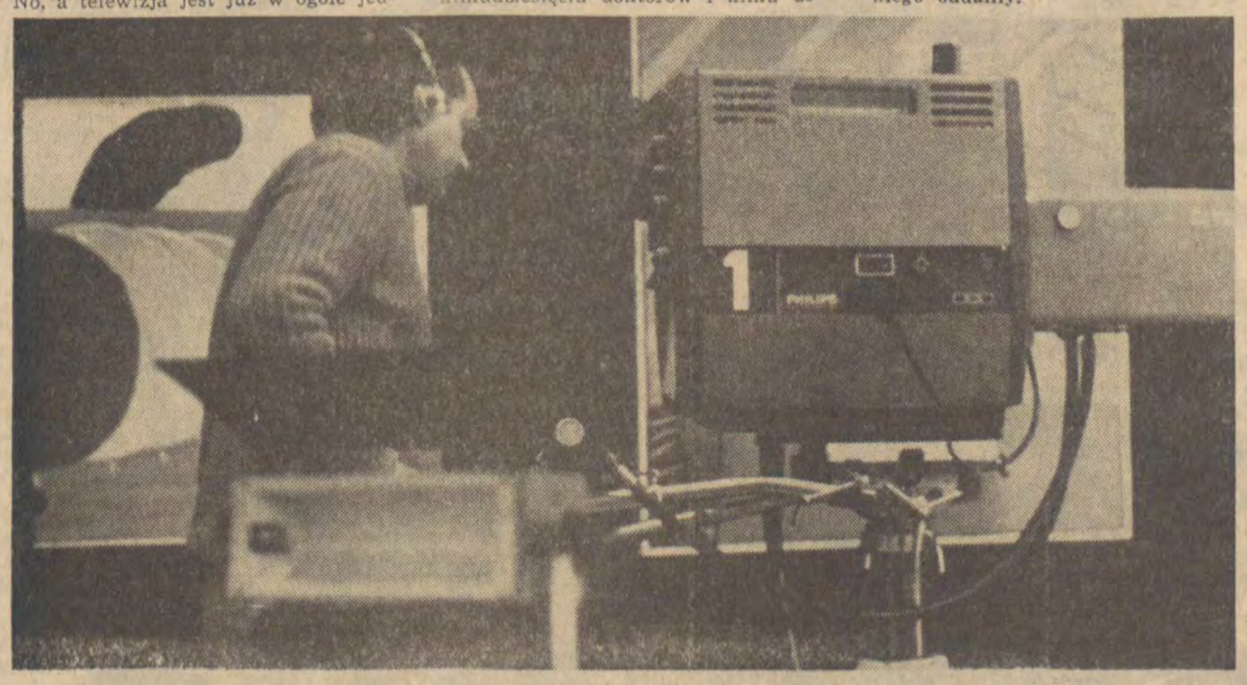

Foto: W. Parys

Rozmawiał:
WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

SZKICE POETYCKIE

TEATR

Powiedzieli, że jestem do Niego podobny i założyli na moją głowę, na moją biedną głowę, już i tak dostatecznie poranioną myślami, koronę z cierni. Nie mogłem ich przekonać, że zbędna jest taka dosłowność. Bali się, że nie zostanę dobrze zrozumiany. Ale zaczęli się zastanawiać, czy nie przydzielić mi innej roli. I okazało się, że aktor mający grać Judasza, zna doskonale partie Chrystusa. Ja zaś doskonale znałem partie Judasza. Zapadła decyzja. Był teraz prawdziwy Chrystus i o wiele lepszy Judasz. W ten sposób nie trzeba było rezygnować z korony. I oczywiście odnieśliśmy sukces.

ZA GROBEM

Zabiłem się. Życia nie byłem już potrzebny. Już nie byłem potrzebny nikomu. Sobie też nie. Zrobiłem to, co już zrobić musiałem. Wbiłem nóż w moje ogromne brzuszysko i nie czułem bólu. Byłem szczęśliwy, że nie stchórzyłem. Radośnie witałem śmierć. Była moim umierającym ciałem i moim umierającym cierpieniem, bo czułem z narastającą ulgą, że tracę świadomość, że gasną we mnie myśli, które były gorsze od tego noża, którym siebie zabiłem.

Moje ciało jest już w grobie. Nareszcie przestałem je widzieć. Dopóki żyłem, nie zdawałem sobie sprawy jak brzydkie mam ciało, jak marne i jak w rezultacie nieważne w rezultacie tego, co teraz jest mną. Moja świadomość, dopóki żyłem, też była w rezultacie nieważna. Żyjąc cierpiałem. Cierpiałem niepotrzebnie. Najgorszą i najmarniejszą moją chorobą były uczucia, moja słabość do nich. Z nich zrodziły się moje największe niepokoje i lęki — jakże teraz śmieszne! Żyjąc pytałem, nie znajdując odpowiedzi. Życie nie było więc dla mnie. Życie jest dla tych, którzy nie pytają. Dla tych też, którzy nie muszą znać odpowiedzi. Ale życie nie jest na pewno dla tych, którzy zrozumieli, że pytać nie warto. Kto bowiem przerasta życie, jest jego największą ofiarą.

Nie wiem, czym jestem teraz. Może nicością, której nie muszę się bać już, a może wiatrem wiejącym nad światem, którego jednak nie widzę i jestem tym bardziej szczęśliwy. A może jestem poczuciem szczęścia? I jest to szczęście, jakiego nigdy nie zaznałem będąc człowiekiem i jestem pewien, że żaden człowiek nie może go zaznać.

Otacza mnie zwiększająca się z każdym momentem Jasność. I z każdym momentem bardziej czuję się szczęśliwy. Powinienem może powiedzieć, że staję się coraz to pełniejszym poczuciem szczęścia...

Poczucie szczęścia, którym być może teraz jestem, staje się jeszcze bardziej pełniejsze, gdy zdaję sobie nagle sprawę, że nie jestem sam, że jest przy mnie jakaś bliska mi bardzo obecność; bliska o wiele bardziej, niż był mi bliski ktokolwiek z moich bliźnich na świecie. Tak bliska nie była mi nigdy moja żona, nawet wtedy, kiedy mnie jeszcze kochała, moja matka, nawet gdy byłem jeszcze dzieckiem, dosłownie nikt.

Nie jest to Bóg. Wiem to. Nawet teraz nie mogę uwierzyć w istnienie Boga. Jako człowiek, gdy jeszcze byłem tylko człowiekiem, doszedłem do wniosku, że Bóg to idea, którą stworzył Chrystus wierząc w możliwości zbawienia świata. Ideą tą chciał zjednoczyć ludzkość. Był szaleńcem. Chciał, by uwierzono w jego mogącą zbawić ludzkość ideę. I dlatego do końca nazywał ją Bogiem. Umierając na krzyżu, żalił się, że Bóg go opuścił, chociaż już zwątpił w swoją ideę — stracił wiarę w możliwość zbawienia świata.

„Kim lub czym jesteś?", pytam tę bliską mi bardzo obecność. „Jestem tym, czego najbardziej było ci trzeba. Na co zasłużyłeś sobie nigdy dotąd tego nie mając", rzekła. „Czy będziesz ze mną już zawsze?", znów pytam. „Tak, bo ty tego pragniesz", odpowiedziała. „Tak, bardzo tego pragnę", mówię. I dodaję: „Pragnę złączenia się z tobą na zawsze".

I stało się to, czego tak bardzo zapragnąłem.

Nie ma nic piękniejszego.

GENIUSZ SAMOTNOŚCI

Pamięci Maxa Jacoba

Samotność bywa okrutna. Bo wypełnia się ludźmi, których nie ma. Wtedy kobieta, której pragnę, przychodzi do mnie jeszcze piękniejsza niż jest, i tak dobra, jaką być nie potrafi. Wszyscy których znam choćby z widzenia, pukają wtedy do mych drzwi. Biegnę, by im otworzyć, ale serce bije mi wtedy tak mocno, że nie mogę tego wytrzymać. Zwalam się na podłogę. Płaczę cicho z rozpaczy. A oni wciąż stoją za drzwiami, czekają, aż w końcu zmuszeni są odejść. O tak, samotność bywa okrutna. Nie raz gdy zapominam o istnieniu drzwi, spostrzegam nagle, że oni tu są. I nie jest ważne, jakim sposobem tu weszli. Ważne staje się znalezienie sposobu na pozbycie się ich. I jedynym takim sposobem pozostaje walka. Wychodzę z niej zawsze pokonany. Tracę przytomność i umieram na długie godziny.

Na ulicy unikamy się zawsze wzajemnie. Oni uciekają przede mną a ja przed nimi. Już do nikogo nie mówię „dzień dobry" i nikomu nie muszę się odwzajemniać żadnym pozdrowieniem. Nie zawieram nowych znajomości. Rozmawiam tylko z Bogiem, co do którego wiem, że go nie ma, ale tylko dlatego jestem z nim szczery. Powiedziałem mu nawet jak się naprawdę nazywam.

A wy sobie myślcie, że jestem Maxem Jacobem.

PAJĄK

Pamięci Franza Kafki

Pytałem siebie, kim jestem? I jaki mam cel? Szukałem odpowiedzi na te pytania gorączkowo i uporczywie, zanudzałem nimi znajomych, zadręczałem spotykane kobiety, nie dawałem spokoju członkom mojej rodziny. Aż nagle przyszło olśnienie. Już wiem, że jestem nikim i nie mam żadnego celu. Bo oto jestem jedną z wielu istotą społeczną i cel mój został mi wyznaczony: praca w banku, ona przede wszystkim, a dopiero to, co nikogo nie obchodzi poza mną, mój własny świat, dla mnie najbardziej tajemniczy, ale też dla mnie najbardziej logiczny i rzeczywisty.

A więc jestem ohydnym i szalonym pająkiem. Dzięki temu jednak wiem przynajmniej, co to znaczy być sobą i nie być kimś, kto musi być kimś.

Jeżeli zatem znacie mnie bankowego urzędnika, schludnie ubranego i skrupulatnie wypełniającego swój obowiązek społeczny, to dobrze, że nie wiecie, że jestem ohydnym pająkiem. Tak jak dobrze jest mnie, który was widzi takimi, jakimi w gruncie rzeczy jesteście, bo wy nie potraficie być pająkami, które ze wszystkich stworzeń są najbardziej pracowite i najbardziej czułe na ludzką krzywdę.

KTO ZABIŁ?

I.

Nie rozumiałem, co dzieje się ze mną. Byłem roztrzęsiony. Nigdy nie reagowałem w taki sposób, ale też może nigdy nie bywało gorzej?... Zresztą jak zwykle moje nerwy były w złym stanie.

Żona była przerażona moim wyglądem. Nie mogłem się opanować. „Uspokój się", powiedziała. Chciała telefonować po pogotowie, ale jej nie pozwoliłem. Wyłączyłem aparat z sieci. Marzyłem o położeniu się na tapczanie i zaśnięciu, chociaż wiedziałem że na pewno nie zasnę. Sen był już tym, co najtrudniej mi przychodziło. „Co ci jest?", niepokoiła się żona. „Nic, nic" odpowiadałem. Położyłem się. Powiedziałem: „Przynieś mi coś do picia". Żona przyniosła mi herbatę, która jednak zbyt była gorąca, abym mógł ją wypić. „Raczej mi daj coś zimnego", poprosiłem. Dostałem chłodny napój. „Powiedz mi, co się stało?", nalegała żona. Popatrzyłem na nią. Nie mogłem uwierzyć, że widzę przed sobą obcą kobietę o nie znanej mi dotąd twarzy. Wiedziałem od dawna, że moja żona przestała mnie kochać. Od dawna już też zauważyłem, że już teraz niewiele nas łączy. Nic ponadto, że razem mieszkamy i spełniamy wobec siebie drobne uprzejmości i obowiązki. Teraz jednak, dzieląca nas obcość, stała się nazbyt jawna. Obnażyła się w rysach tej obcej mi twarzy, której dotąd nie znałem i mógłbym o niej powiedzieć to tylko, że jest to twarz mojej żony, ponieważ żadna inna kobieta nie byłaby przy mnie. Tym silniej więc przejąłem się swym spostrzeżeniem. A ponadto, w jakiś czas przedtem, uświadomiłem sobie coś o wiele ważniejszego: znienawidziłem życie. Życie przestało mnie interesować. Nie mogę powiedzieć, że przestało mnie bawić, bo nie bawiło mnie nigdy. Zawsze było dla mnie czymś niesłychanie poważnym i bezgranicznie wyczerpującym. Teraz więc, kiedy ponownie stanąłem przed koniecznością zmagania się z nim — moim zdaniem byłem w tragicznej sytuacji — straciłem chęci. Nie było mnie stać na ponowny wysiłek.

Odwróciłem się do ściany. Żona zrozumiała, że nie będę nic mówił i odeszła do kuchni. Słyszałem jak siada na taborecie, a potem stygnie w zamyśleniu. Boże, jak bardzo zapragnąłem śmierci. Nie pomyślałem jednak o samobójstwie, a zawsze przedtem ilekroć nawiedziało mnie to pragnienie, o nim myślałem przede wszystkim.

Pragnienie śmierci uspokoiło mnie, poczułem się lepiej, nawet wypoczęty, drżenie we mnie ustało. Wstałem. Poszedłem do łazienki, wykąpałem się i ogoliłem. Po kąpieli założyłem na siebie czystą bieliznę, białą koszulę i najlepszy garnitur. Żona obserwowała mnie. Wiem, że nigdy jej tak nie dziwiłem. Byłem pewien, że od tego dnia nie będziemy już razem. Nie wiedziałem tylko co nas od siebie uwolni, co mnie uwolni od życia i spełni moje pragnienie. Ale wiedziałem, że jeszcze tego dnia wyjdę z domu i już nigdy do niego nie wrócę. „Stanie się to najpóźniej za godzinę lub dwie — myślałem. — Za godzinę lub dwie będę wolny." Usiadłem przy stole. Czekałem.

II.

Głośno zapukano do drzwi. Jak gdyby mi chciano oznajmić: „Idziemy po ciebie, by spełnić twoje pragnienie. Pójdziesz z nami i będziesz wolny". Drzwi otworzyła im żona. Zapytano ją o mnie, czy mieszkam tu i czy jestem w domu. „Tak, jest w domu", rzekła. Wyszedłem im naprzeciw. Okazało się, że przyszli mnie aresztować. Nie zapytałem dlaczego, za co?... Zachowałem się tak, jakbym to wiedział. A nawet powiedziałem do żony: „Już na zawsze się rozstajemy. Żegnaj". Wiedziałem przecież, że jeszcze tego dnia wyjdę z domu i już nigdy do niego nie wrócę.

III.

Jestem morderca. Może to prawda, że jestem morderca? W każdym bądź razie oni są o tym święcie przekonani. Zebrali przeciwko mnie dowody nie do podważenia. Nie dyskutowałem z nimi, nie mówiłem, że mogą nie mieć racji. Bo może ja mieli? Ich zdaniem zabiłem człowieka, który był moim przyjacielem. Czy mógłbym zabić swojego przyjaciela? Gdybym nawet nie był mordercą, a myślę, że to może być taka sama prawda, jak to, że nim jestem, obrona przed ich zarzutem byłaby bezskuteczna. Ich zarzut był podparty dowodami nie do podważenia. Więc może rzeczywiście zabiłem? I to swojego przyjaciela? Nigdy przedtem nie mógłbym uwierzyć, że mógłbym kogoś zabić. I to swojego przyjaciela.

Ostatnio bardzo często zdarzało mi się nie wiedzieć nic o tym, co działo się ze mną w niedawno minionym czasie. A przecież w czasie tym, obojętne jak długo trwał, jechałem tramwajem lub szedłem ulicą, stałem gdzieś, albo siedziałem. I może mordowałem?...

Tak, byłem u niego. Prosiłem, by przyjął mnie do pracy w instytucie, którego był dyrektorem. Ale powiedział, że teraz nie może nic dla mnie zrobić. Kłamał. Przecież już od dłuższego czasu ukazywały się w prasie ogłoszenia, że jego instytut zatrudni od zaraz ekonomistów. Ziewał, gdy ze mną rozmawiał.

Pamiętam, że wyszedłem od niego bardzo zrozpaczony. To wtedy uświadomiłem sobie, że nienawidzę życia. Życie przestało mnie interesować. To pamiętam, ale nie pamiętam co działo się ze mną przez następne pół, a może nawet półtorej godziny. Więc może naprawdę zabiłem swego przyjaciela?... Oni mają na to dowody nie do podważenia. Powiedział mi to nawet adwokat, którego moja żona poprosiła, by zechciał być moim obrońcą. Był zdziwiony, bo nie zamierzałem się bronić. Skąd mógłby jednak wiedzieć, że ja pragnąłem już tylko jednego: śmierci.

IV.

Proces trwał krótko. Przyznałem się do winy. Przecież i tak wszyscy byli przekonani, że to ja jestem mordercą. Gdy odczytywano wyrok, spojrzałem na żonę. Ona też właśnie na mnie spojrzała. Na jej twarzy, na tej obcej, nie znanej mi twarzy, malowała się pewność, że to prawda. Dlaczego więc ja miałbym myśleć inaczej? Gdyby mnie nawet uniewinniono, nie chciałbym wrócić do domu, do życia, które znienawidziłem do codziennej harówki i krzątaniny, do bezustannego myślenia o tym po co, dlaczego, do czego to wszystko prowadzi?..

ZAKOŃCZENIE, które jest głosem Autora:

Bohater mój zginął na krześle elektrycznym, bo ja tak chciałem, ale nie będę opisywał tej upragnionej przez niego chwili. Wystarczy że Ty, Drogi Czytelniku, masz tyle wyobraźni, by co do tego mieć całkowitą pewność. I ponieważ nie ma go już między nami żyjącymi, po prostu o nim zapomnijmy. Po cóż bowiem mielibyśmy pamiętać o kimś, kto w przeciwieństwie do nas zapragnął śmierci? A więc — zapomnijmy o nim.

NAJGORSZY PRZECIWNIK

Za dużo tej rzeczywistości wokół mnie. Dlatego wszystko przestało być oczywiste. Już nie wiem, co wybrać z tego przytłaczającego mnie zewsząd natłoku rzeczy i zjawisk. To mi zaczyna przeszkadzać. Ja się duszę! Lecz może to tylko astma? Mimo to nie wiem, co ze mną będzie. Żeby choć raz coś prostego, żeby uczucie jakieś, które by mnie porwało i może wtedy mógłbym zapomnieć o tej duszącej mnie rzeczywistości, spychającej mnie nawet poza margines życia?... Staram się, by choć co nieco ułożyć na właściwym miejscu. Żeby promienie słoneczne nie zaskakiwały mnie z tej strony, z której się wcale ich nie spodziewam, żeby to było normalne, że na ulicy panuje ruch, w którym się gubię, i coraz częściej nie mogę znaleźć kierunku, w którym zmierzam żeby zegary wolniej wybijały mijający tak szybko czas, lub jeśli czas mija tak szybko, to żeby to też było normalne. Najgorsze jednak jest to, że i u siebie mam taki bałagan, z którym nie umiem sobie poradzić. Sprzątając, robię jeszcze większy bałagan i rezygnuję w końcu, rozkładam ręce, bo nie mam już sił.

Ale spokojnie, spokojnie... Czas przecież mija tak szybko i może któregoś dnia już niczym nie będzie się musiał przejmować. To tylko teraz jeszcze zdaje mi się, że tonąc w natłoku zjawisk i rzeczy, które stanowią moją rzeczywistość, muszę ratować się.

Szkoda, że nie zostałem marynarzem. Marynarz wie, kiedy morze staje się w końcu od niego silniejsze. Ten żywioł jest przynajmniej w naturalny sposób honorowy i jego zwycięstwo nie jest klęską dla marynarza. A ja na pewno nie zniosę klęski po przegranej walce z rzeczywistością. I nie znam nikogo takiego, kto miałby kiedykolwiek świadomość, że walczy z równym mu przeciwnikiem. O nie, nikt jeszcze nie okazał się kiedykolwiek silniejszy. Ale na szczęście przynajmniej to jest normalne.

PEJZAŻE ŁÓDZKIE ANDRZEJA GRUNA

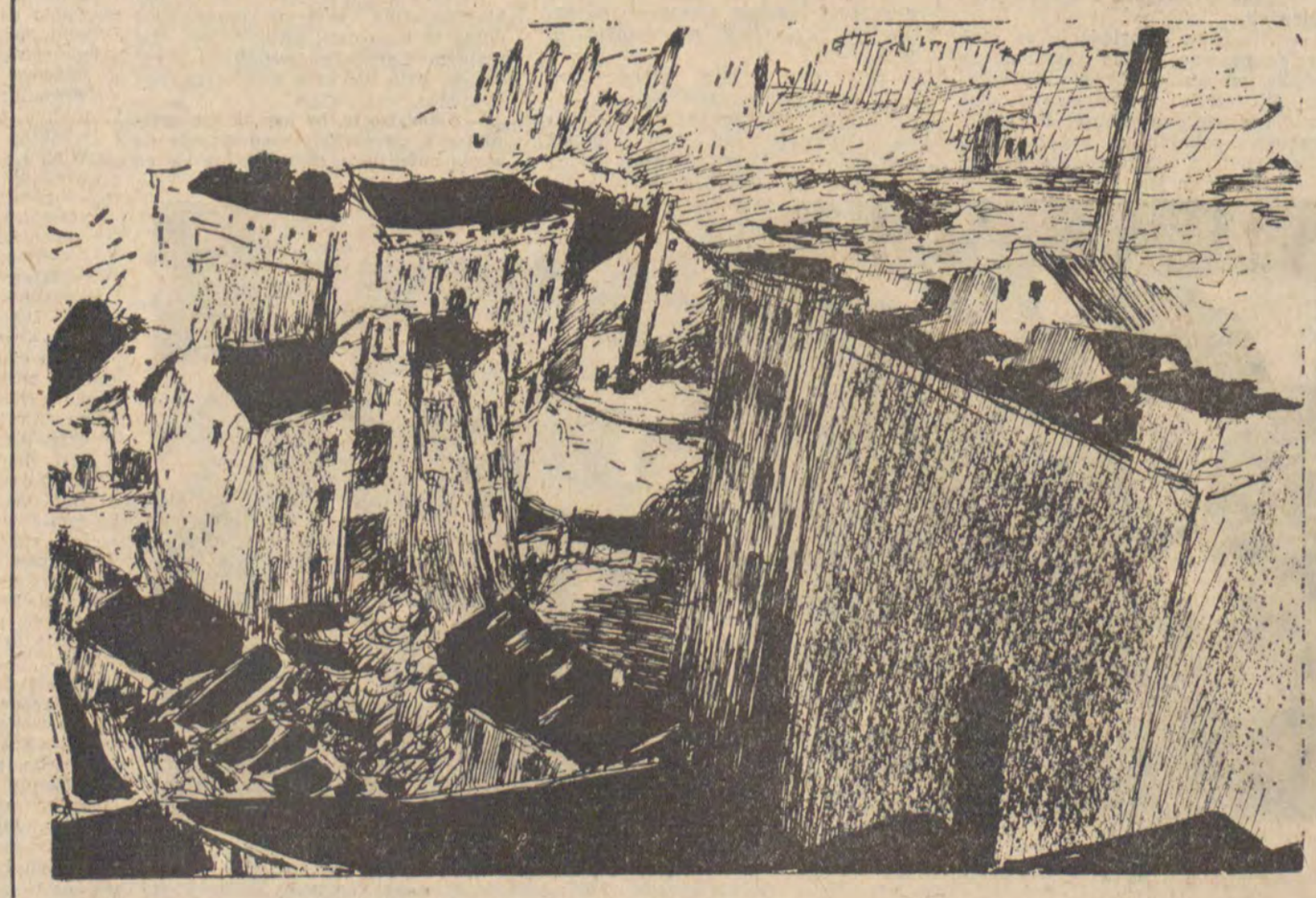

Dalszy ciąg ze str. 1

nas zainteresować, swoje akwaria (są prawie w każdym domu) swoje hodowle kwiatów. Na zakończenie przyjęcie przed wejściem do klatki schodowej. Właśnie klatka schodowa jest takim wyodrębnieniem grupy mieszkańców skupionych w jednym Komitecie. Pojawia się rum kubański, piwo i refresko — napój, który towarzyszył am na każdym kroku. Napoje chłodzące to kubańska specjalność, są wszędzie i chłodne. W każdym punkcie sprzedaży znajdują się ogromne wanny wypełnione wielkimi blokami lodu, tak składowane są butelki, które w ten sposób nawet przy czterdziestostopniowych upałach są zawsze bardzo zimne.

Otrzymujemy od naszych gospodarzy upominki, które wykonali własnoręcznie. Są tym cenniejsze. My wymieniamy nasze i późno w nocy wracamy do naszej wioski.

Kubańczyków gościliśmy dwukrotnie w Klubie Polskim. Pierwszy raz na wspaniałym dwustronnym spotkaniu przyjaźni, a po raz drugi na spotkaniu z naszym kosmonautą Mirosławem Hermaszewskim. Hermaszewski był rewelacją tego festiwalu. Na spotkanie w Klubie Polskim przypłynął na pokładzie „Zawiszy Czarnego". Były więc podwójne sensacje. Tego samego dnia wylądował w Klubie Polskim po swoim drugim przelocie słynny w Hawanie polski balon. Balon rzeczywiście był słynny a decyzję o jego przelotach podejmował sam Fidel Castro.

Niezwykłość tego zdarzenia polegała na tym, że w historii Hawany był tylko jeden balon, który wzniósł się w powietrze i zaginął, nikt nigdy nie dowiedział się jaki był jego koniec. Polski balon był więc drugim, ale pierwszym który szczęśliwie wystartował i wylądował.

Byliśmy akurat na mitingu centralnym na temat ładu ekonomicznego na świecie. Miting odbywał się w porcie rybackim, a na jego zapleczu przygotowywał się do startu polski balon. Miting się rozpoczął, aż nagle nad wielotysięcznym tłumem pojawił się balon z napisem POLONIA zrzucający polskie i kubańskie flagi. Wszyscy skupili swe zainteresowanie oczywiście na przelocie balonu, a przemawiający z mitingowej trybuny pozostali w cieniu polskiego wydarzenia.

Podobnie było z „Zawiszą Czarnym". Do końca utrzymano w tajemnicy fakt, że Hermaszewski przypłynie na pokładzie „Zawiszy". Smukły żaglowiec powoli zbliżał się do mola. Tłum oczekujących wyległ aby zobaczyć jednego z najsławniejszych ludzi w Hawanie. Motorówka odbiła od burty „Zawiszy" i ruszyła w kierunku mola, dziennikarze zaczęli fotografowanie i filmowanie. Poczuli się jednak oszukani gdy w motorówce nie było naszego bohatera. Przypłynął dopiero drugim kursem. W takich bezpośrednich spotkaniach Hermaszewski jest bardzo sympatyczny i szybko nawiązuje bezpośredni kontakt.

To właśnie jemu zgotowała polska delegacja szczególną owację przed galowym koncertem polskim. Był niewątpliwie jednym z poważnych atutów polskiej delegacji.

Codziennie, gdy wyjeżdżaliśmy z wioski, żegnały nas dwa szpalery dyżurujących kubańskich pionierów. Śliczne kubańskie dzieci spotykaliśmy wszędzie. Prosiły o autografy, znaczki, chusty. W Hawanie ogłoszono konkurs na największą ilość zdobytych autografów więc gdy szliśmy na spacer wzdłuż Malekonu, to jak mówiliśmy między sobą trzeba było „robić za gwiazdę".

Polski program kulturalny dał znać o sobie w sposób szczególny w czasie galowego koncertu polskiego, który odbył się 2 sierpnia 1978 r. Nie wszystkie delegacje dostąpiły zaszczytu organizacji własnego koncertu galowego w ramach centralnego programu festiwalu. Nim jednak doszło do koncertu, polskie zespoły dały się poznać na innych mniejszych imprezach. Wszystko zaczęło się w klubie polskim. Już w czasie dni przed festiwalem, kiedy przechodziliśmy tropikalną aklimatyzację codziennie wieczorem odbywały się koncerty poszczególnych zespołów i solistów. Przychodzili na nie liczni goście, szczególnie Kubańczycy.

Dla nas, tych którzy przylecieli trzecim samolotem, koncert Maryli Rodowicz był przede wszystkim sprawdzianem wytrzymałości fizycznej. Przylecieliśmy przecież o dziewiątej rano czasu miejscowego (po szesnastu godzinach lotu) a wieczorny koncert kończył się o północy.

Na zagranicznych spotkaniach wszystko co polskie fascynuje, obserwujemy więc reakcję miejscowych aby uzyskać w ten sposób pogląd, na ile występ naszej piosenkarki podoba się Kubańczykom. Podobał się. Następnego dnia koncertowały zespoły „Dwa plus Jeden" i „Andrzej i Eliza". Wszyscy czekali na przylot Niemena. Zainteresowanie jego występami było szczególne. Wzbudzał kontrowersyjne opinie, ale był jednym z najpopularniejszych polskich wykonawców. Był też chyba najbardziej, ze wszystkich członków ekipy kulturalnej, prawdziwym delegatem. Chodził w stroju delegata, był sympatyczny, kulturalny jakiś bliski. Spotykaliśmy się ze wszystkimi polskimi wykonawcami na co dzień w klubie polskim. Poznaliśmy ich nie od tej wizytowej, estradowej strony ale takich jakimi są na plaży, w codziennych rozmowach.

Niewątpliwą rewelacją w polskiej ekipie kulturalnej była „Gawęda". Wiele już powiedziano najwspanialszych słów na jej temat, ale jest to zespół zawsze fascynujący. Nie wiem jak Andrzej Kieruzalski — założyciel i kierownik zespołu doszedł do tak wspaniałych efektów wychowawczych i artystycznych, ale to do czego doszedł jest zaskakujące. Te, przecież małe jeszcze dzieci są zdyscyplinowane, sympatyczne, wspaniale przygotowane od strony artystycznej i zawsze są właśnie takie nie tylko w chwili występu. „Gawęda" była jednym z podstawowych elementów sukcesu koncertu galowego.

CUBA 78

(notatnik festiwalowy)

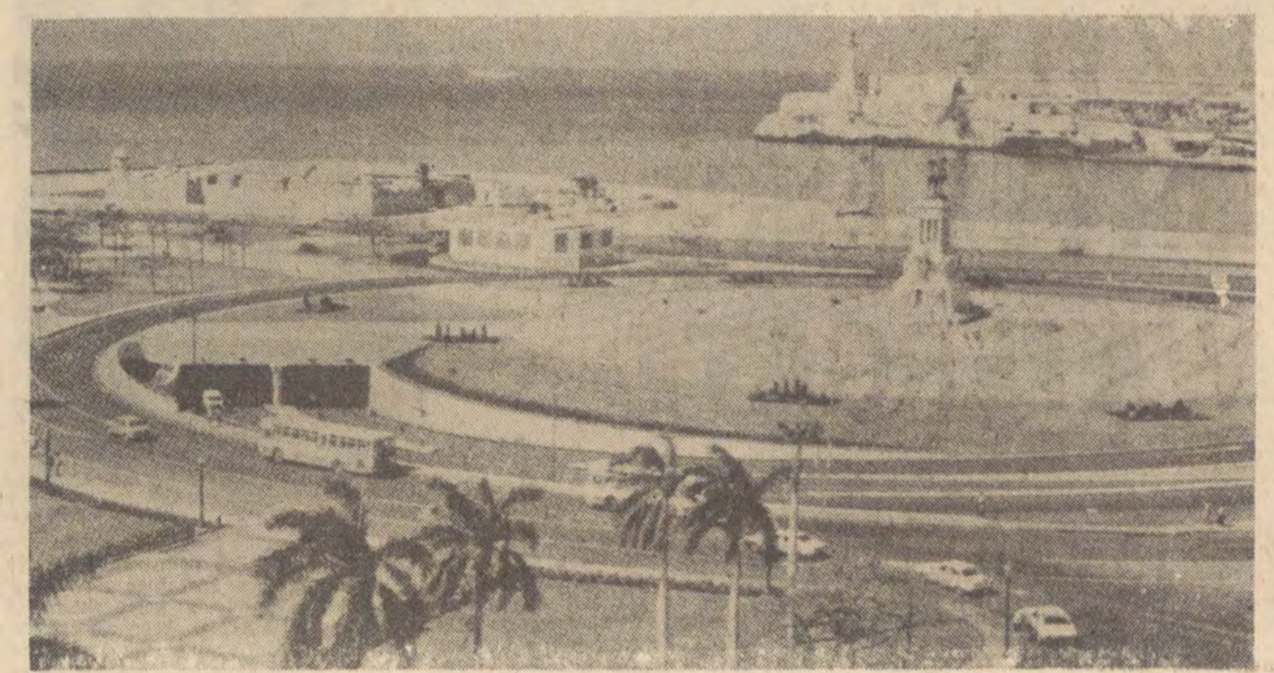

Fotd. Archiwum

Koncert był najważniejszym punktem dnia polskiego. Wzięła w nim udział cała delegacja polska i reprezentacje właściwie wszystkich ekip festiwalowych. Szliśmy na to spotkanie pełni emocjonalnego oczekiwania na ostateczny efekt tak ważnej imprezy jak nasz galowy koncert. Po bardzo dobrych ocenach naszego przemarszu w czasie uroczystości otwarcia, po sukcesach polskiego balonu, po zainteresowaniu postacią Hermaszewskiego to był kolejny punkt, w którym mieliśmy pokazać na co nas stać. Teatr, w którym odbywał się koncert mieścił ponad cztery tysiące osób. Przybyliśmy, jako gospodarze, nieco wcześniej. Wreszcie nadszedł czas otwarcia imprezy, przybyli goście, a największą owacją przywitano Hermaszewskiego.

Konstrukcja takiego koncertu galowego jest zadaniem niewątpliwie bardzo trudnym. Koncert się zaczął. Drobne potknięcie podkładu muzycznego i opóźnienie ruchu dekoracji lekko nas zdenerwowały. Zaczęło się od Chopina, potem przez nasz narodowy repertuar, pieśni rewolucyjne z całego świata aż po karnawałową radość wszystkich wykonawców. Sala nie dawała się początkowo porwać do wspólnych reakcji. Soliści jakby zbyt długo wytrzymywali swoją obecność na scenie blokując następnych wykonawców. Ale być może to tylko nasze odczucia, tych którzy chcieli, żeby to wszystko było wyłącznie najznakomitsze. Wreszcie na scenie pojawiła się Gawęda, która jakby tajemnymi mocami odczarowała widownię. Entuzjazm ogarnął wszystkich, teraz jakby czekano na Gawędę, na jej kolejny występ. Już teraz było wiadomo, że koncert zakończył się sukcesem, ale ostatni finałowy występ Maryli Rodowicz otoczonej Gawędą i pozostałymi wykonawcami, który porwał do wspólnego śpiewu całą widownię był przypieczętowaniem sukcesu. To był niewątpliwie nasz polski dzień.

Sprawy polskie nie zakończyły się jednak na koncercie. Kiedy grupa delegatów przybyła na przyjęcie do ambasady polskiej przygotowane z okazji dnia polskiego była zupełnie zaskoczona faktem obecności w ambasadzie Fidela Castro, który bez zapowiedzi w ten właśnie sposób dał wyraz swego uznania dla udziału polskiej delegacji w Festiwalu. Byliśmy jedyną obok ZSRR ambasadą, którą zaszczycił w czasie festiwalu.

Nie sposób wymienić chociażby wszystkich imprez, które złożyły się na XI Międzynarodowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Ot chociażby Międzynarodowy Festiwal Filmów Sportowych, który był samodzielną imprezą odbywającą się w centrum sportowym. Polskę reprezentowały tam dwa filmy „Pięciobój nowoczesny" Bohdana Dziworskiego zrealizowany w łódzkiej WFO oraz jedno z wydań Polskiej Kroniki Filmowej dotyczące ostatniej olimpiady. Zestaw okazał się bardzo trafnie dobrany gdyż w całości festiwalu przeplatały się właśnie owe dwa nurty, z jednej strony filmy — kroniki, reportaże z różnych imprez, z drugiej filmy wysoce artystyczne będące próbą zupełnie innego, filmowego spojrzenia na złożoność spraw związanych ze sportem. Zafascynowała nas twórczość samych Kubańczyków, którzy są jeszcze daleko w zakresie poziomu technicznego swoich filmów ale przeskoczyli innych w sposobie traktowania dotychczasowych obowiązujących norm języka filmowego. Korzystają z tych doświadczeń bardzo swobodnie, tworząc formułę zupełnie własną, która pozwala na ostateczny kształt dzieła niezwykle interesujący. Szczególnie zapamiętaliśmy film inaugurujący festiwal, będący pozornie relacją z przygotowań i przebiegu igrzysk panamerykańskich z roku 1975, ale w rzeczywistości była to filmowo-filozoficzna impresja o ludzkich namiętnościach, chęci agresji, sile i dochodzeniu do ostatecznego efektu sportowego w zestawieniu z siłą, okrutnością i ludzkimi namiętnościami zaspokajanymi w warunkach wojny, przemocy i terroru.

Wreszcie ostatni dzień festiwalu. Nawet nie przypuszczaliśmy przyjeżdżając 25 lipca na Kubę, że tak szybko miną nam te festiwalowe dni. Przed nami ostatni akord festiwalu, wielka manifestacja na Placu Rewolucji. Jak zwykle kolumną naszych autokarów jedziemy przez sam środek miasta na zaplecze Komitetu Centralnego. Stąd już piechotą przesuwamy się razem z innymi przybyłymi równolegle delegacjami, w kierunku pomnika Jose Marti. To u jego stóp stoi mównica, z której będzie przemawiać Fidel Castro. Powracamy do tej postaci często, bo fascynuje fakt tak ogromnej popularności I sekretarza wśród Kubańczyków. Jego pojawienie się wzbudza autentyczny entuzjazm. W rozmowach z Kubańczykami, chcąc uzyskać najbardziej wiarygodny obraz takiej właśnie popularności, otrzymujemy zazwyczaj jednobrzmiącą odpowiedź, utożsamiającą postać Fidera Castro z rewolucją, z wolną Kubą, z przyszłością kraju.

Przed nami ogromny, międzynarodowy, różnobarwny tłum, milion osób! Oni wszyscy są już właściwie po festiwalu, zostały nawiązane znajomości, podpisane dokumenty, ogłoszone rezolucje, sukces festiwalu jest już ze wszech miar potwierdzony. Manifestacja się rozpoczęła. W pamięci pozostają dwa wystąpienia: wietnamskiej dziewczyny odczytującej apel młodzieży świata i Fidela Castro, do wszystkich uczestników festiwalu. Castro mówił tylko 25 minut, co zaliczono do wydarzeń festiwalu, gdyż znany jest ze swoich obszernych, wielogodzinnych wystąpień.

Tego dnia wieczorem czekał nas jeszcze bal w Parku im. Lenina. Kilkanaście kilometrów za Hawaną rozciągają się ogromne przestrzenie Parku Kultury i Wypoczynku, w którym to mieszkańcy Hawany wydali bal na cześć delegatów.

Rozmach przyjęcia przerósł nasze oczekiwania. Już na początku alei stały beczki rumu, dalej rożna z dziczyzną, obszerne stoły z jadłem wszelakim od kurczaków, przez inne mięsa, aż po bogactwo owoców skończywszy. Deszcz, który znowu zaczął padać, odebrał trochę urody występom artystycznym i ognistym tańcom, w których wzięli już udział wszyscy zaproszeni. Ostatnia noc festiwalowa za nami.

cdn.

MACIEJ ŁUKOWSKI

WSTĘP DO POLITOLOGII

Franciszek Ryszka napisał nową, bardzo interesującą książkę. Zatytułował ją skromnie: „Wstęp do nauki o polityce. Uwagi metodologiczne" (PWN 1978), i określił jako skrypt przeznaczony dla studentów, powstały w związku z dydaktyczną działalnością autora, prowadzoną w różnych placówkach naukowych. Czy jest to skrypt, czy też nie — tego dyskutować nie będziemy — choć z pewnością nieobowiązujące programy nauczania uniwersyteckiego zakreśliły ramy rozważań autora. Jest to za to z pewnością bardzo interesujące dziełko o charakterze metodologicznym, którego przeczytanie będzie z pożytkiem dla wielu przedstawicieli nauk społecznych, bynajmniej nie tylko profesjonalnych politologów. Chodzi tu bowiem o dwa kompleksy zagadnień: mianowicie — po pierwsze — o problematykę przedmiotu nauki o polityce, oraz — po drugie — o metody badawcze współczesnej politologii. Polityką zajmuje się naukowo nie tylko politologia, trudno bowiem wyobrazić sobie taką historię, która by zrezygnowała z badania zjawisk i procesów politycznych. Również i nad metodami badania polityki zastanawiają się nie sami tylko politologowie: jeżeli polityka stanowi ważny przedmiot badań historycznych, także i historycy muszą wypracowywać własne metody poznawcze w tej dziedzinie. A zatem z książką tą powinni się zapoznać nie tylko politologowie — fachowcy i amatorzy — ale także ci wszyscy, którzy z racji swoich zainteresowań bądź profesji zajmują się zagadnieniami historii polityki.

Tyle wstępu, teraz kilka słów o treści tej książki. Część pierwszą wypełnia — podług własnych słów autora — „Katalog pojęć elementarnych", drugą — omówienie „kierunków i metod badawczych". Czytelników o zainteresowaniach historycznych z pewnością zainteresuje najbardziej część druga, w której uczony rozważa metody badawcze, mające zastosowanie nie tylko w badaniach nad polityką współczesną, ale także i przeszłą. „Nauka o polityce — powiada Franciszek Ryszka — ma uczyć politycznego myślenia, czyli naukowych analiz i ocen, odnoszących się do działań, które się zdarzyły". Zadania analityczno-opisowe, o charakterze poznawczym, stanowią nie tylko podstawę dla formułowania zadań o charakterze teoretycznym, ale przede wszystkim — co jest w przypadku nauki o polityce szczególnie istotne — pozwalają na spełnianie przez tę dyscyplinę funkcji praktyczno-prognostycznych.

Niektórzy badacze są zdania, że historia najnowsza, rozumiana, jako historia ostatniego pięćdziesięciolecia, może wypełniać wszystkie zadania, jakie stawiane są nauce o polityce. Franciszek Ryszka — który jest jednocześnie historykiem, prawnikiem i politologiem — nie jest zwolennikiem tej koncepcji i wytacza przeciwko niej poważne argumenty. Zauważa bowiem, że historyczna wykładnia nauki o polityce powstaje na gruncie przekonania, „że polityka jest zbiorem działań jednostkowych i niepowtarzalnych i jeśli nawet wolno jest snuć prognozy, to i one nie wynikają z twierdzeń na poziomie teoretycznym (o różnym szczeblu generalizacji), ale stanowić mają konsekwencję zdarzeń przypadkowych i wyjątkowych". Tego rodzaju anachroniczny już dziś punkt widzenia — nie znaczy, że nie mający nawet i u nas swoich zwolenników — opiera się o pewną konstrukcję historiozoficzną, rozwiniętą przez tradycyjne dziejopisarstwo, rozwijające się w kręgu tzw. niemieckiego historyzmu, czyli ściślej historycyzmu głoszącego indywidualistyczny pogląd na dzieje.

Franciszek Ryszka zajmuje się w swej książce nie tylko wykładnią historyczną w nauce o polityce. Poświęca wiele uwagi różnym stosunkowo nowym tendencjom, jakie możemy dziś obserwować w politologii oraz innych naukach społecznych, by wspomnieć tu o analizie systemowej, inspirowanej przez idee behawioralizmu, zagadnieniach taksonomii zjawisk politycznych oraz — co z pewnością zainteresuje również i historyków — o problematyce metod kwantytatywnych w badaniach politologicznych. Wiadomo przecież, jak doniosłe jest dziś znaczenie tych skomplikowanych metod dla rozwoju poznania naukowego także w dziedzinie historii. Franciszek Ryszka przedstawił je w sposób stosunkowo prosty — chociaż nie uniknął nafaszerowania tekstu książki niewielką porcją matematycznych wzorów — wszystko jednak, co istotne, opisał w sposób jasny tak, że można zrozumieć, o co autorowi chodzi, bez studiowania przez kilka lat nauk matematycznych.

Był kiedyś dobry zwyczaj, że wybitni uczeni — historycy oraz przedstawiciele innych dyscyplin — pisywali w oparciu o prowadzone przez siebie wykłady rozmaite „wstępy" do uprawianych przez siebie dyscyplin. Dzieła takie miały charakter metodologiczny, a zarazem i metodyczny, nie tracąc szerokiej perspektywy badawczej wskazywały niejednokrotnie w sposób celny aktualne drogi praktycznych poszukiwań naukowych. Szkoda trochę, że zwyczaj ten został jakoś zapomniany, a zamiast indywidualnych, głęboko pomyślanych „wstępów" do takiej czy innej nauki, posiadamy dziś raczej łopatologicznie, aniżeli metodologicznie napisane podręczniki, dostarczające sumy spetryfikowanej, scukrzonej wiedzy o regułach postępowania badawczego, unikające rozstrząsania spraw ogólnych, najbardziej dyskusyjnych i.... najważniejszych. Chwali się Franciszkowi Ryszce, że nie napisał takiego skryptu, jakich wiele, a dał nam do ręki dziełko traktujące o naprawdę ważnej, szeroko dziś dyskutowanej w całym świecie problematyce, nie związane z żadnym obowiązującym programem wykładów, za to bogate w treści intelektualne i pobudzające do myślenia. Nawiązał tym do pięknej tradycji naszej humanistyki.

ANDRZEJ F. GRABSKI

JEREMY THORPE CZYLI BRYTYJSKIE WATERGATE

Anglia przeżywa nową aferę polityczną: były przywódca partii liberalnej, Jeremy Thorpe i trzej jego współpracownicy, zostali postawieni w stan orskarżenia pod zarzutem usiłowania morderstwa. Skandal ten grozi poważnym kryzysem w rządzie brytyjskim. Oto, co pisze szwajcarski tygodnik WELTWOCHE z 9 sierpnia.

„Typowy brytyjski dżentelmen — tak oto można śmiało określić deputowanego i przywódcę partii liberalnej Jeremy Thorpe'a. Ten absolwent ekskluzywnych uczelni w Eton i Cambridge, żartowniś zdolny swym ciętym dowcipem ożywić każdą debatę parlamentarną, arbiter elegantiarum, na którego żywiej biły serca pięknych pań, za pan brat z możnymi tego świata — bez trudu pozyskał względy wyborców. Był ponadto w bliskich kontaktach z domem królewskim — jako kolega szkolny lorda Snowdona drużbował mu na ślubie z księżniczką Małgorzatą, a gdy żenił się po raz drugi, wybranką jego była Marion, pianistka pochodzenia austriackiego, niegdyś żona jednego z kuzynów królowej. Teraz jednak tego przedstawiciela high-life'u opuściła arystokratyczna pewność siebie. Wraz z trzema kolegami znalazł się w więzieniu pod zarzutem usiłowania zamordowania znanego w wyższych sferach męskiego modela, który przez wiele lat utrzymywał z przywódcą liberałów stosunki więcej niż przyjacielskie.

Czy to możliwe, aby tak renomowany polityk znajdował upodobanie, w tym ludzkim wraku, upośledzonym umysłowo pół-debilu, jakim był Norman Scott? A jednak... Minęło właśnie 18 lat od chwili, gdy świeżo upieczony deputowany do Izby Gmin, w czasie oględzin swych ulubionych koni, zagadał po raz pierwszy do chłopca stajennego. Zlitował się nad jego losem, dopomógł mu, a potem wprowadził do Westminsteru i do salonów Mayfair. Oczywiście z należytą ostrożnością. Wówczas bowiem obowiązywała jeszcze dawna ustawa z czasów Oskara Wilde'a, która przewidywała karę więzienia za homoseksualim. (Została ona zliberalizowana dopiero przez późniejszy rząd labourzystowski). Jeremy Thorpe nie afiszował się więc zbytnio ze swą przyjaźnią dla Normana Scotta i traktował go jako swego pracownika, pamiętał nawet, aby go ubezpieczyć. Miłość ta, jak każda inna, wygasła z biegiem czasu, ale pozostały po niej materialne ślady, a mianowicie, książeczka ubezpieczeniowa, która zawieruszyła się gdzieś w papierach pana Thorpe i o którą daremnie upominał się Norman Scott. Urzeczony blaskiem wielkiego świata dawny chłopiec stajenny porzucił bowiem pracę przy koniach i zapragnął zrobić karierę w zawodzie modela słynnych fotografów. Jednak każdy pracodawca żądał książeczki ubezpieczeniowej z poprzedniego miejsca pracy, a tej Norman Scott nie posiadał, gdyż znajdowała się gdzieś w przepastnych szufladach biurka pana Thorpe. Listy, jakie Norman Scott wysyłał do swego dawnego przyjaciela i dobroczyńcy, pozostały bez odpowiedzi. Scott stał się uciążliwy dla przywódcy liberałów Cóż to bowiem przyszło do głowy temu debilowi? Otóż, zawiedziony w swych uczuciach, obrażony w swej godności ukartował zemstę: pospieszył na posterunek policji i tam szczegółowo opowiedział o swej „występnej" miłości, załączając odpowiednie dokumenty. Oczywiście, protokół trzeba było przekazać dalej, trzeba było wszcząć dochodzenie. Co za straszliwa historia: z jednej strony półwariat, a z drugiej tak błyskotliwy i wybitny przywódca partyjny...

Norman Scott, bronił się zawsze przed określaniem go mianem szantażysty. Oczywiście, potrzebował pieniędzy i kiedyś nawet otrzymał je od przyjaciół Jeremy'ego, który w ten sposób chciał opędzić swe długi wobec dawnego chłopca stajennego. Jednakże Norman Scott był w trudnej sytuacji materialnej, w międzyczasie bowiem ożenił się z taką samą pół-debilką , jak on sam, miał dziecko, a ubezpieczalnia wciąż nie chciała pokrywać żadnych kosztów. Jeżeli był szantażystą, to bardzo niezręcznym. Rozdawał bowiem, niekiedy całkiem bezpłatnie, listy miłosne Jeremy'ego różnym dziennikarzom i detektywom, wszystkim, którzy interesowali się jego sprawą, ale dokumenty te znikały zazwyczaj w czeluściach szaf pancernych redakcji, albo też były odsyłane z powrotem na adres „Jeremy Thorpe, Member of Parlament". Ważne akta przepadały bez śladu, rzekomo zgubione w urzędach lub ukradzione przez nieznanych sprawców. Kruk krukowi oka nie wykole...

Kiedy kierownictwo partii liberalnej po raz pierwszy wszczęło dochodzenie, Jeremy Thorpe wyszedł z niego czysty jak łza, mimo że w śledztwie brali udział właśnie ci dwaj policjanci, którzy pierwsi wysłuchali swego czasu rewelacji Normana Scotta. Dopiero w 1976 r., gdy skandal zataczał coraz szersze kręgi, Thorpe zrezygnował ze stanowiska szefa partii, ale zachował mandat deputowanego.

Cała ta zabawa w ciuciubabkę, jest tym bardziej dziwna, że homoseksualiści brytyjscy od pewnego czasu cieszą się dużą swobodą. Trawestyci z Gay Lib (ruch na rzecz wyzwolenia homoseksualistów), żądają nawet równouprawnienia. Dlaczegóż więc polityk miałby posuwać się aż do morderstwa, aby usunąć niewygodnego świadka? No, ale to dygresja, powróćmy do sedna sprawy. W latach 70 dawny romans Jeremy'ego Thorpe i Normana Scotta, stał się aferą polityczną, tym groźniejszą, że pod kierownictwem eleganckiego szefa partia liberalna zdobyła prawie 20 proc. głosów, nabrała nowego znaczenia i mogła skutecznie głosić swe idee, m. in. nawoływać do bojkotu sportowców rasistowskiej Afryki Południowej. Co by się stało, gdyby obciążające Thorpe'a zeznania Scotta dostały się do rąk południowoafrykańskiej służby wywiadowczej? Premier Wilson, który sam nie był bez winy, gdyż utrzymywał intymne stosunki ze swą sekretarką Marcią Williams, obliczył sobie, że moralna dyskredytacja liberałów spowodowałaby przejście ich zwolenników na stronę konserwatystów, a co za tym idzie — umożliwiłaby zwycięstwo konserwatywnej polityki sprzyjającej RPA i Rodezji.

Sytuacja stawała się tym groźniejsza dla Thorpe'a, że Norman Scott zdołał opublikować swą „love story" w prasie, korzystając z tego, że jako świadek nie mógł być ścigany dyscyplinarnie. Trzeba było temu gadule zamknąć pysk, ale jak? Dzięki niedyskrecji jednego z „wiernych" współpracowników Jeremy'ego, Brytyjczycy dowiedzieli się, że kumple szanownego przywódcy liberałów długo zastanawiali się, czy lepiej Scotta otruć czy zastrzelić i gdzie ukryć zwłoki — na wysypisku gruzów czy w jakieś nieczynnej kopalni. W końcu pewien bezrobotny pilot samolotów pasażerskich, nazwiskiem Adrew Newton podjął się za sporą opłatą wykonać wyrok na zbyt gadatliwym młodzieńcu i wytropił go w jakiejś wiosce w Devon. Zabrał się jednak do roboty tak niezręcznie, że wzbudził podejrzenia Scotta. Dawny chłopak stajenny nie był takim durniem, jakby się wydawało i miał już przedtem sygnały ostrzegawcze, gdyż pewnej nocy pobili go nieznani napastnicy, a lekarz, który go leczył, zapisywał mu zbyt duże dawki librium. Kiedy więc Newton zaproponował mu przejażdżkę autem po wrzosowiskach, Scott, nie w ciemię bity, zgodził się, ale pod warunkiem, że na wycieczkę pojedzie również jego bardzo zły pies, wielki dog. Pilot pomyślał, że lepiej będzie najpierw sprzątnąć psa, co też uczynił, ale gdy z kolei skierował rewolwer na Scotta, broń się zacięła. Próba mordu spaliła na panewce. Przed sądem Newton starał się ukryć swych mocodawców, tłumaczył się, że to on sam miał intymne stosunki ze Scottem, ale gdy mimo to został skazany na dwa lata więzienia, zdecydował się wszystko wyśpiewać. I wówczas „bomba" pękła...

Foto: Archiwum

Następca Wilsona, Callaghan, zastanawia się teraz, czy w związku ze skandalem w partii liberalnej nie byłoby lepiej odłożyć wyborów przewidzianych na październik br. do wiosny przyszłego roku, gdyż w obecnej sytuacji zwolennicy liberałów mogliby przejść na stronę pani Margaret Thatcher, zwłaszcza gdy Thorpe upierał się przy swej kandydaturze Czy jednak odroczenie wyborów może pomóc Callaghanowi? Raz rozpętany proces będzie niewątpliwie zataczał coraz szersze kręgi i przysporzy kłopotów nie tylko partii liberalnej. Tylu prominentów establishmentu maczało palce w tej aferze, że im dłużej będzie się czekać, tym bardziej skompromituje się całe brytyjskie środowisko polityczne, a nawet rodzina królewska może być w to wmieszana. Mamy więc nowe Watergate — tym razem w wydaniu brytyjskim".

Francuski LE MONDE, komentując aferę Thorpe'a, nazywa go „zabawnym Buster Keatonem". „Jako syn i wnuk konserwatywnych parlamentarzystów — pisze dziennik — Jeremy Thorpe wcześnie zgromadził w swym ręku atuty niezbędne dla wielkiej kariery politycznej. Ukończył szkołę w Eton, następnie studiował w Oxfordzie, gdzie został wybrany przewodniczącym związku studentów: tak zaczynają karierę królowie. Następnie został adwokatem w Londynie, gdzie bardzo szybko wsławił się swym kostycznym poczuciem humoru, swymi dowcipami anegdotami, a także talentem krasomówczym. Drobny, szczupły, o bardzo ciemnych włosach, ubierał się zawsze bardzo wyszukanie, w stylu „edwardiańskim" — melonik, czarny garnitur z kamizelką i zegarek na dewizce. Był to swego rodzaju śmiejący się Buster Keaton.

W 1959 roku został wybrany deputowanym partii liberalnej w okręgu Nord Devon, który reprezentuje do dnia dzisiejszego. Miał wówczas 30 lat. W roku 1968 po raz pierwszy zawarł związek małżeński, lecz w dwa lata później jego żona Caroline zginęła w wypadku samochodowym. Z tego małżeństwa pozostał mu syn. W 1973 roku Jeremy Thorpe ożenił się po raz drugi, z pianistką Marion Stein, byłą żoną Lorda Harewooda, kuzyna królowej Elżbiety. W 1967 roku Thorpe został wybrany przewodniczącym partii liberalnej, której poprzedni przywódca, Jo Grimond, przeszedł na emeryturę. Pod jego wybitnym kierownictwem liberałowie osiągnęli wspaniałe rezultaty: w lutym 1974 roku uzyskali 6 milionów głosów i 14 mandatów. Zaczyna się wówczas mówić o „odrodzeniu" partii Whigów. Owczesny premier Edward Heath zaproponował liderowi liberałów tekę ministra w swym rządzie. Thorpe jednak odmówił, nie chcąc się angażować po stronie konserwatystów.

W dwa lata później jego los, jako polityka wydaje się przypieczętowany: w styczniu 1976 roku Ministerstwo Handlu opublikowało raport ujawniający poważne niedopatrzenia, które doprowadziły do krawędzi bankructwa jeden z banków londyńskich — London and County Bank. Thorpe był jednym z dyrektorów banku. Przyznawał wówczas, że niedostatecznie dbał o sprawy swej instytucji. W kilka dni później wybuchła „afera Scotta". Przywódca liberałów zaprzecza wszystkiemu, jednakże wobec zaniepokojenia i poruszenia, jakie sprawa ta wywołała w jego partii i w opinii publicznej, podaje się do dymisji, a na jego miejsce, szefem partii zostaje inny młody wybitny parlamentarzysta David Steel. Wszyscy wiedzieli już wówczas, że Thorpe musi się pożegnać ze swymi wielkimi nadziejami. Ponowna eksplozja afery Scotta może przyśpieszyć koniec jego kariery parlamentarnej.

Przyjaciele Thorpe'a — a ma on ich jeszcze wielu — są przygnębieni: człowiek predestynowany do wielkiej kariery został nagle obrzucony błotem przez ludzi wątpliwej konduity. Jednakże mimo liberalizacji obyczajów, mimo nowej ustawy, która nie uważa już homoseksualizmu za przestępstwo — w Wielkiej Brytanii skandale nadal zabijają. Przynajmniej pod względem politycznym".

TOMASZ SOLDENHOFF

Kto lubi MUZYKĘ WSPÓŁCZESNĄ?

Foto: J. Mendychowski

Pobieżna lektura kalendarza koncertowego łódzkiej Filharmonii nasuwa wniosek, że sezon 1977/78 stał pod znakiem klasyki. Grano wprawdzie utwory niektórych kompozytorów współczesnych (w tym również polskich) ale zarówno twórcy, jak i ich dzieła należą do uznanych. Poza zasięgiem zainteresowania Filharmonii Łódzkiej znalazły się jednak — co zakrawa na paradoks — utwory kompozytorów żyjących i tworzących w Łodzi.

Zabrakło prawykonań, nie było też powtórek. „Etiudy symfoniczne" Malawskiego i pieśni Jurdzińskiego trudno bowiem uznać za aktualną i wyczerpującą reprezentację tego, czym w chwili obecnej łódzkie środowisko kompozytorskie może się pochwalić. Było to raczej przypomnienie zamkniętej już i czasowo odległej twórczości, nie zaś prezentacja aktualnych możliwości i poszukiwań. Łódzcy kompozytorzy, członkowie Łódzkiego Oddziału Związku Kompozytorów Polskich byli w ubiegłorocznym repertuarze PFŁ po prostu nieobecni.

Jak to się stało? Gdzie tkwią przyczyny takiego stanu? Próbę odpowiedzi na te pytania przyniesie być może konfrontacja wielu relacji, które oparliśmy na wypowiedziach przedstawicieli obu zainteresowanych stron: kompozytorów i Filharmonii Łódzkiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA: KOMPOZYTORZY

— Był okres, kiedy zazdrościli nam koledzy z innych ośrodków. Corocznie jeden cały koncert symfoniczny w czasie „Wiosny Artystycznej" poświęcała Filharmonia prawykonaniom naszych kompozycji. Potem jednak zaczęto nas łączyć z klasyką, znanymi solistami; stopniowo ubywało nas w „Wiośnie", aż w 1975 roku mieliśmy ostatni wspólny koncert. Od tego czasu PFŁ odrzuca nasze nowe propozycje: w ciągu trzech lat nie było żadnego prawykonania. Propozycje składamy więc coraz bardziej nieśmiało, już nie indywidualnie, lecz w formie listy zbiorowej... Traktuje się je bowiem w Filharmonii z coraz większą rezerwą. Pierwsze utwory z tej listy zdążyły się już „zestarzeć"...

— Nie ma w Łodzi instytucji, która by się podjęła roli pośrednika między nami a Filharmonią czy radiem. Chodzimy więc sami, od drzwi do drzwi, jak petenci. Od stycznia 1978 roku próbujemy mediacji, ale coraz bardziej nam się wydaje, że bez dyrektyw „z góry" PFŁ nie zacznie poczuwać się do obowiązku informowania o tym, co się aktualnie w łódzkim środowisku kompozytorskim dzieje. Prezentowanie naszej twórczości powinno chyba wynikać z założeń tej placówki, w pewnym sensie służebnej wobec środowiska, w którym istnieje i działa... Ale Filharmonia odżegnała się od powinności towarzyszenia naszym poczynaniom.

— Czy PFŁ ma dla nas jakieś konkretne propozycje? Nie ma... Podtrzymuje się tam natomiast mit, że dlatego odwrócono się od naszych utworów, bo środowisko jest „trudne", publiczność nie chce nas słuchać, czy wręcz nie interesuje się muzyką współczesną. Filharmonia woli więc budować program z utworów znanych i twierdzi, że w ten sposób zapewnia sobie frekwencję. Ciekawe tylko, że mimo naszej nieobecności w programie, roczna średnia frekwencji w PFŁ nie podwyższyła się, a raczej przeciwnie.

— Czy pisana przez nas muzyka „odstrasza" słuchaczy? Czy wymaga po prostu odrobiny chęci, dobrej woli? Próbujemy ją zresztą uatrakcyjniać, np. wprowadzając tekst. Nie jesteśmy też przeciw tradycji. Chodzi nam tylko o to, by nasze utwory były przyjmowane do repertuaru jak inne, by żyły normalnym koncertowym życiem... Ale repertuar Filharmonii dyktuje wygodnictwo...

— Przez to wygodnictwo zrezygnowano nawet z jednej pozycji współczesnej w cotygodniowym koncercie! Wykonywanie muzyki awangardowej powoduje bowiem dodatkowe kłopoty, trzeba powiększyć skład orkiestry o nowych muzyków i instrumentarium, a to naraża PFŁ na zbyt duże wydatki. Do tego jeszcze muzycy i soliści pewniej czują się w klasyce.

— Co nam pozostaje? Pisanie „do szuflady"? Komponowanie dla filmu, teatru itp? Prawykonania poza Łodzią? Mamy je za granicą, mamy w innych ośrodkach muzycznych kraju. Tylko nie w Łodzi, niestety. Przykład wiele mówiący: jeden z utworów długo by jeszcze okrywał się kurzem w bibliotece PFŁ, gdyby jego autorowi nie przyszło do głowy wysłać go na Warszawska Jesień. Efekt? Nagroda imienia Fitelberga... Ale nie chodzi nam już tylko o prawykonania, które leżą i czekają. Zaniedbana jest podstawowa informacja o naszym środowisku. Często nie wiemy nawet, co pisze kolega, nie mamy możliwości konfrontacji. Poza wszystkim uczymy jeszcze innych kompozycji, ale gdzie mogą nas słuchać studenci? Jedyną szansę konfrontacji dają festiwale muzyki współczesnej: w Warszawie, Wrocławiu i Poznaniu.

— Brak zainteresowania naszą muzyką w Łodzi, niemożność realizacji siebie na rodzimym gruncie wiąże się ze stopniowym osłabianiem łódzkiego środowiska kompozytorskiego. Kolegów nam ubywa — w ciągu trzech lat odeszło na zawsze trzech — a z młodych nikt nie przybył...

— A przecież istniało w Łodzi — w latach sześćdziesiątych — aktywne Koło Młodych przy ZKP. Część jego członków z biegiem lat przyjęto do Związku Kompozytorów, inni — nie sprostawszy bardzo wyśrubowanym wymaganiom komisji kwalifikacyjnej

RYSZARD BINKOWSKI

KRYPTONIM „RT" (II)

CIERNISTY SZLAK

1.

W małym domku przy ulicy Kwarcowej wszystko jest miniaturowe i usprawnione. Ale atmosfera niezmienna od lat. Pachnie jabłkami i wspomnieniami, w ciszy podzwaniają natrętne osy.

Dzieci odeszły w świat. Jeden z synów ukończył iberystykę i mieszka w Warszawie. Drugi jest absolwentem Uniwersytetu w Poznaniu, gdzie ukończył fizykę i matematykę. Na szczęście zamężna córka, ulubienica ojca, mieszka dość blisko, w Pabianicach.

Stanisław Frontczak uzyskał szczęście rodzinne, sporo sukcesów i wyróżnień w pracy zawodowej, ale niestety, zaznał też wiele goryczy i zawodu.

Urodził się w roku 1911 w byłym powiecie łaskim. Rodzice posiadali duże gospodarstwo, toteż syn, od dzieciństwa zamiłowany w majsterkowaniu, szczególnie przy maszynach rolniczych, ukończył najpierw Szkołę Rolniczą w Sędziejowicach, następnie Państwową Średnią Szkołę Rolniczą w Bydgoszczy, a po wyzwoleniu, w roku 1954, uzyskał stopień inżyniera.

Przez całe życie związany był z pracą w służbie rolnej.

Sięgam po najmniejsze pudełeczko z pamiątkowego archiwum.

— To cenię sobie najbardziej — stwierdza ze wzruszeniem Frontczak.

Jest to jego ostatnie wyróżnienie, odznaka „Zasłużony Pracownik Rolnictwa". Przeglądam dalsze. Medal X-lecia PRL, Złoty Krzyż Zasługi. Najstarsze: Nagroda Państwowa III stopnia w dziale postępu technicznego za rok 1952. Otrzymał ją za opracowanie m. in. łuszczarki do rącznika i młocarki do konopi. Liczne patenty i prawa autorskie. Do praktycznie używanych w rolnictwie opracowań inż. Frontczaka należą m. in.: konny roztrząsacz obornika, zgarniacz siana, igłowy zbieracz ziemniaków oraz pionowa koparka dołków.

— Powinien pan być usatysfakcjonowany — mówię odrywając się od dokumentów.

Uśmiecha się z lekką ironią.

— Żeby mnie zrozumieć — powiada — musiałby pan przekopać się przez to całe archiwum i wysłuchać wszystkiego od początku. To wcale nie jest zabawne...

Przeglądam więc papiery, słucham cierpliwie i notuję najistotniejsze fakty.

W roku 1945, już w lutym, organizuje Powiatowe Biuro Rolne w Pabianicach i przygotowuje zasiewy i materiał zarodowy dla powiatu Łask. Kiedy w Bolesławcu tworzył radę narodową, ledwie uszedł z życiem przed obławą bandy. Szli za nim z psami, strzelali; ocalał przesiedziawszy całą noc na drzewie.

Kiedy inni szabrowali, on robił wynalazki. Jako inspektor rolny jeździł na rowerze. Można by powiedzieć, że właśnie na rowerze zrodził się projekt sadzarki do ziemniaków. Ta pierwsza sadzarka stała się prototypem sadzarek wytwarzanych w Kłudzieńsku, aż do najnowocześniejszych, produkowanych obecnie.

Za ten wynalazek Frontczak otrzymał... wyrok śmierci od podziemia...

W kilka lat później zajmował się zagospodarowywaniem terenów po melioracji. Brakowało ludzi, ponieważ żaden rolnik nie potrafi dobrze wysiewać mieszanek traw. Ziarna motylkowych segmentują się już w palcach, trzeba więc siać na krzyż, aby nie zostawić pustych miejsc.

Siedział na workach patrząc na łąki. Z jednego worka wysypały się nasiona. Przesypywał je w garści. Mimowiednie zacisnął dłoń w pięść. Stwierdził, że nasiona mieszanki nie sortowały się. Czy nie można by ich równo wysiewać z siewnika?...

Zagłębił się w rozmyślaniach.

W tym czasie Gagarin przygotowywał się do pierwszego lotu kosmicznego...

2.

U kowala w Kociwiu koło Widawy ze starych kół i złomu powstał pierwszy siewnik do wysiewu mieszanek nasion traw.

Foto: W. Parys

Prymityw. Drewniana skrzynia o prostopadłych ścianach z wałem, jako aparatem rozsiewającym. Kiedy zasypało się wał, przykryło z wierzchu deską i przycisnęło cegłami, nasiona się nie sortowały i można było siać.

O świcie Frontczak przywiózł do kuźni na motocyklu chleb, kiełbasę i dwa litry wódki. Wyprowadzili siewnik, kowal go przeżegnał, dwaj mocni chłopi zaprzęgli się do ciągnika.

Kowal obsługiwał, konstruktor obserwował.

Chłopi zmęczyli się, przeciągnawszy siewnik do krańca zagona czarnej ziemi.

Frontczak wspomina załamującym się ze wzruszenia głosem:

— Wschodziło słońce. Popatrzyłem na rzuty siewnika. Pas szerokości 2,5 metra. Równo rozrzucone białe nasionka na czarnym tle przypominały w promieniach słońca muślin. Nie wiem, kto zaczął, dość, że zaczęliśmy się spotanicznie całować...

A potem pili wódkę zagryzając chlebem z kiełbasą. I to była jedyna przyjemność z tego osiągnięcia. Ludzie pomagający Frontczakowi pomarli nie doczekawszy się siewnika...

Okazało się, że kowal bardziej wierzył w ten siewnik niż naukowcy. Kowal zbudował lepiej niż naukowcy...

A przecież w roku 1955 komisja ministerialna zachwycała się nim w polu.

Cóż, na brak docentów nie możemy narzekać. Bywa jednak, że instytuty lubią podłapywać pomysły w terenie i przedstawiać je, jako swoje. Bywa, że docenci postulują zmiany w dokumentacji. Wynalazca podpowiada im co zrobić, stawiają więc po kilka kresek i biorą po sto tysięcy.

Tak było z Frontczakiem. Do akcji przystąpił reżyser Ziarnik realizując film pt. „Cierpienia wynalazcy". Po jego rozpowszechnieniu kilka koron spadło z głów, lecz siewnik nie wyszedł z produkcji.

— Zaświtała nadzieja — mówi Frontczak — kiedy znalazłem życzliwych sobie ludzi w POM z Rąbienia. Ściągnęli ten nieszczęsny siewnik aż z Darłowa, bo tam go spartolili. Jeden z pracowników, Kuraszewski, narażając się budował ze mną po nocach. Doprowadziliśmy maszynę do stanu używalności. Wyszła na pole i pracowała dobrze, ale to tylko prototyp. Przejął go do budowy Państwowy Instytut Maszyn Rolniczych w Poznaniu i zniszczył to, co zrobiono w Rąbieniu. W ciągu czterech lat instytut wykazał, że siewnik jest nieprzydatny...

Frontczak poważnie się rozchorował, na jakiś czas przeszedł na rentę inwalidzką. Stracił 50 tysięcy na poprawki w dokumentacji i na opłaty, ponieważ skończyła się ochrona patentu. Aby uratować mu życie, żona nie uiściła jednej z opłat, przeznaczając pieniądze na zakup zagranicznych leków.

Utracił prawa patentowe, które dopiero sąd mu przywrócił.

Minęło ponad dwadzieścia lat od chwili skonstruowania siewnika.

Gagarin wyleciał w kosmos, ludzie dobyli Księżyc.

Siewnik nie wyszedł z produkcji.

Nadal sieje się trawy z płachty. Trze palcami...

3.

Ludzie wiedzą, że sprawili mu przykrość. Niektórzy pragną się usprawiedliwiać. Ale to już przeszłość, którą musiał jednak przeżyć. Ponad osiągnięcia duchowe i materialne przedkłada zadowolenie moralne, bo wie, co się dzięki niemu zmieniło w rolnictwie.

— Po chorobie — opowiada z nutą goryczy w głosie — zacząłem rozglądać się za pracą. Byłem niechętnie widziany, wszędzie odprawiano mnie z kwitkiem. Pan zawraca głowę, z panem same kłopoty, w gazetach będą pisać...

Nikt nie chciał być ciągany po ministerstwach, jak on znowu coś wykombinuje. Wczesną wiosną, nie podając swoich kwalifikacji, zatrudnił się za fizycznego w klubie sportowym „Start". Pomyślał, że koń niszczy kopytami murawę, więc trzeba inaczej. I dlatego sam ciągnął bronę po skorupie śniegu, żeby szybciej stajała i piłkarze mogli wybiec na boisko.

Za zastąpienie konia otrzymał nagrodę, ale różnie mogli o nim myśleć. W innych przedsiębiorstwach spotykał się z szykanami. Jeśli wystąpił z jakimś wnioskiem racjonalizatorskim, twierdzono, że jest lekko stuknięty.

Ale jego działalność i niewątpliwe dokonania wyraźnie przeczą takim opiniom.

Z pisma Wojewódzkiego Klubu Techniki i Racjonalizacji do ministra rolnictwa z dnia 15. IX. 1975 r.:

„Pozwalamy sobie zwrócić się do Obywatela Ministra z prośbą o rozpatrzenie możliwości znalezienia formy zadośćuczynienia moralnego i materialnego dla wieloletniego racjonalizatora i wynalazcy w dziedzinie mechanizacji rolnictwa — ob. Stanisława Frontczaka (...). Najbardziej bolesną dla ob. Frontczaka jest ciągnąca się od 20 lat sprawa wdrożenia do produkcji jego wynalazku pt. „Siewnik do wysiewu mieszanek nasion traw", wg patentu nr 47805. Mimo upływu 20 lat i wydatkowaniu na badania wynalazku w Państwowym Instytucie Mechanizacji Rolnictwa w Poznaniu około 13 milionów złotych, siewnik nie doczekał się dotychczas produkcji na skalę przemysłową (...) Sam wynalazca wydatkował z własnych skromnych zarobków na prace związane z budową prototypów siewnika około 50 tysięcy złotych, których dotychczas nie może odzyskać (...) Jesteśmy gotowi na każde życzenie Obywatela Ministra przedstawić dokumenty potwierdzające nasze wystąpienie i fakty w nim zawarte (...)".

Z odpowiedzi Departamentu Techniki Ministerstwa Rolnictwa z grudnia 1975 roku:

„Departament Techniki uprzejmie informuje, iż wniosek Waszego Klubu o przyznanie przez Ministerstwo Rolnictwa nagrody pieniężnej dla Stanisława Frontczaka za jego działalność racjonalizatorską i wynalazczą nie może być uwzględniony (...) Wykazane przez Wasz klub zasługi S. Frontczaka zostały już uwzględnione podczas nadawanej mu w 1972 roku odznaki „Zasłużony Pracownik Rolnictwa".

Jako powód podano m. in., że zgłoszone ostatnio przez Frontczaka projekty „nie otrzymały dotychczas pozytywnej oceny co do ich przydatności dla gospodarki narodowej'.

Pism i odpowiedzi o podobnej treści, stosowanych przez różne instytucje, jest wiele. Z jednej strony świadczą one o zasługach wynalazcy, z drugiej zaś... budzą w nim niepokój i rozgoryczenie. Dlatego też już w pierwszej fazie badań nad torfem Frontczak zgłosił się do Urzędu Patentowego.

Pismo z Urzędu Patentowego PRL:

„Urząd Patentowy PRL stwierdza, że dokonane zostało dnia 10. IV. 1978 roku przez w/w (Stanisława Frontczaka — przyp. R. B.) za numerem P-206024 zgłoszenie w sprawie uzyskania patentu tymczasowego pt. „Torf, jako pasza w żywieniu zwierząt domowych i drobiu".

Na patent trzeba czekać około roku. Jeżeli Frontczak tak wcześnie postarał się o ochronę prawa autorskiego, sprawa musi mieć ogromną wagę.

Co się kryje za kryptonimem „RT"?

O tym w następnym numerze.

— w końcu zrezygnowali ze starań. Zajęli się komponowaniem muzyki teatralnej, filmowej, popularnej, rozrywkowej. Przyjął ich ZAKR...

— Łódzka PWSM wypuszcza rocznie na ogół jednego absolwenta wydziału kompozycji, choć zdarzają się lata — jak choćby ostatni rok akademicki, 1977/78 — kiedy nie ma i tego jednego. Koło Młodych? Gdyby istniało, byłoby w tej chwili jednoosobowe? Absolwenci kompozycji nie zagrzewają tu miejsca, odchodzą do innych ośrodków. W Łodzi brakuje bodźców, przede wszystkim ze strony Filharmonii. Dlatego w Związku Kompozytorów ubywa nas szybciej, niż przybywa. Na brak zainteresowania kompozycją jako przedmiotem wśród studentów rzutuje również niedostateczna popularyzacja muzyki współczesnej w Łodzi...

— Nie możemy pójść tylko na to, by pisać dla teatru, filmu czy ruchu amatorskiego, a rezygnować z klasycznych, najpełniejszych spośród profesjonalnych, warunków prezentacji — na estradzie Filharmonii. Jest to część życia muzycznego, której nic nie może zastąpić...

CZĘŚĆ DRUGA: FILHARMONIA

(Z wypowiedzi dyrektora **Kazimierza Mikołajczaka** i zastępcy kierownika artystycznego PFŁ — **Zdzisława Szostaka**).

— Rezygnacja z koncertu łódzkich kompozytorów była przykrą koniecznością. Bolejemy nad tą sytuacją, ale prawda jest, że tej muzyki nie było dla kogo grać. I nie ma nadal. Kiedy w tym roku odwołaliśmy koncert kameralny, nie zgłosił się nawet nikt po zwrot pieniędzy za bilety, choć były one na wiele dni wcześniej w przedsprzedaży... A na granie dla pustej sali nie możemy sobie pozwolić.

— Czy można jednak oskarżać nas o złą wolę, skoro do chwili obecnej szukamy dróg wyjścia z trudnej sytuacji? W latach 1974—1975 łączyliśmy utwory łódzkich kompozytorów z występami znanych solistów. Na taki koncert (z udziałem Auera w repertuarze chopinowskim) przyszło podczas 6 Wiosny Artystycznej wielu słuchaczy... Wydawało się, że znaleźliśmy sposób. Ale już w następnym sezonie, na koncercie wybitnego wiolonczelisty Daniela Szafrana i wokalistki Hanny Lisowskiej, poprzedzonym prezentacjami łódzkich kompozytorów, były pustki... Część publiczności przyszła dopiero po przerwie... Utrzymywanie takiej sytuacji ze względów prestiżowych nie było możliwe. Narażaliśmy bowiem znakomitych solistów na spotkania z pustą widownią, a siebie na pustą kasę. Próbowaliśmy więc dawkować muzykę współczesną, przeplatając ją z klasyką. Zauważyliśmy jednak, że publiczność darzy niechęcią nie tylko łódzkich twórców, ale jej nieufność manifestuje się również wobec koncertów, w których obok Mozarta pojawia się Kilar czy Baird... No cóż, z całą pewnością nie wystawia to najlepszego świadectwa naszej publiczności. Uderzająco słabe jest — na przykład — zainteresowanie studentów i młodzieży szkół muzycznych. Wszystko to sprawia, że w repertuarze PFŁ właściwie nie ma „pewniaków"; na koncert z udziałem wybitnego solisty potrafi przyjść kilkadziesiąt osób. Jeżeli zaś chodzi o muzykę nowoczesną to wciąż jesteśmy na etapie wprowadzania do repertuaru tak zwanej klasyki współczesnej... A i tak Mahler czy Brückner muszą być dozowani jak rodzynki w cieście. Mimo tych kłopotów w sezonie 1976/77 graliśmy między innymi utwory Szymanowskiego, Szeligowskiego, Twardowskiego, Lutosławskiego, Bairda, Kilara, Krauzego, Bacewiczówny, Piotra Marczewskiego i Kiesewettera — troje ostatnich to twórcy związani z Łodzią, a w sezonie 1977/78 kompozycje Jurdzińskiego i Malawskiego, którego „Etiudy symfoniczne" wykonywała z łódzką orkiestrą Regina Smendzianka (a mimo to było pustawo...), a także Bairda, Kilara, Pendereckiego, Seroc-kiego, acz przyznajemy, że w tym ostatnim sezonie muzyki współczesnej było mniej. Musimy się jednak coraz bardziej liczyć z gustem publiczności, a ta preferuje klasykę... O koncertach wypełnionych muzyką awangardową wiemy z góry, że będą z handlowego punktu widzenia zupełnie nieopłacalne. Prezentacja utworów współczesnych pogłębia deficyt, zmusza bowiem do powiększania aparatu wykonawczego (koszty wypożyczania muzyków bardzo wzrosły...). Reasumując: nie ukrywamy, że przygotowujemy program z myślą o jak największej frekwencji i że ten „handlowy" punkt widzenia czasem dominuje... Co jednak zrobić? Pewniaków, jak się powiedziało, nie ma. I coraz trudniej wytłumaczyć załamania frekwencji. Przykład pierwszy z brzegu: na łódzkim prawykonaniu jednego z koncertów Haydna — pod wybitną batutą Wisłockiego — frekwencja była niższa od planowanej. Sala wypełniła się w połowie. A nam się wydawało, że będzie to wydarzenie!

— Wydaje się, że Związek Kompozytorów ponosi jednak część winy za słabą popularyzację muzyki współczesnej. Na przykład odmówił ostatnio naszej propozycji zrealizowania — wspólnie z Telewizją — cyklu programów pod tytułem „Kompozytorze, broń się!". Cykl ten mógł cieszyć się popularnością nie mniejszą, niż program poprzedni — „Nie taki diabeł straszny". Mógł dobrze przysłużyć się upowszechnianiu muzyki współczesnej. Niestety, kompozytorzy nie zgodzili się na koncepcję programu. Nie chcieli widzieć siebie w roli „atakowanych" i „broniących się"..

— A przecież to jasne, że rola filharmonii będzie coraz mniejsza. W popularyzacji muzyki awangardowej nie filharmonia, a właśnie na przykład telewizja może mieć siłę największą... Dla kompozytorów dużą szansę stwarzają również festiwale muzyczne, gdzie komisja kwalifikacyjna narzuca z reguły repertuar wykonawcom, a szanse „wypłynięcia", szczególnie dla młodych, są większe. No i radio.

— ... Co nie znaczy, że my uchylamy się od obowiązku prezentacji łódzkich twórców. Musimy jednak robić to w sposób bardziej wyważony i planowy, zgodny z oczekiwaniami słuchaczy. Efekty rozmów, jakie prowadziliśmy z Łódzkim Oddziałem ZKP na początku 1978 roku, widać będzie w nowym sezonie koncertowym 1978/79. Mamy w programie między innymi „Toccatę" Szabelskiego, mamy utwory Bairda, Lutosławskiego, z łodzian Kiesewettera (I Symfonia), Hundziaka („Etiuda na orkiestrę") i zmarłego niedawno Bernarda Pietrzaka („Con dolore" i prawykonanie jego ostatniego utworu, planowane na pierwszą rocznicę śmierci w przyszłym roku)...

— Czy kompozytorzy uznają naszą propozycję za „wygodnicką", to już ich sprawa. Nam się jednak wydaje, że kompromisowe wyjście jest do przyjęcia. Będziemy nadal popularyzować klasykę współczesną (mamy w planie m. in. utwory Bartoka, Brücknera, Hindemitha i Mahlera), a oprócz tego chcemy grać utwory łódzkich kompozytorów. Pod jednym wszakże warunkiem: że będą dla nas pisać rzeczy krótkie, nierozbudowane. Jeżeli kompozytorzy przyjmą naszą propozycję, będziemy się starali częściej umieszczać ich utwory w repertuarze i w programach wyjazdów zagranicznych. Jesteśmy zainteresowani w posiadaniu większej ilości takich krótkich, nie przekraczających 5—6 minut utworów. Takie rozwiązanie — acz z konieczności kompromisowe — jest w tej chwili jedynym wyjściem.

CZĘŚĆ TRZECIA: KOMENTARZ

Obraz, jaki wyłonił się z prezentowanych wyżej stanowisk, nie wskazuje, by obu stronom żyło się ze sobą dotąd znakomicie. Obraz ten jednakże wskazuje chyba również na przyczyny konfliktu, ujawnia argumenty obu stron.

Trudno jednak powiedzieć, by wyłączna racja czy też cała wina leżała po którejś ze stron. Zarówno w wypowiedziach kompozytorów, jak i dyrekcji Filharmonii wskazywano — i słusznie — na przyczyny tkwiące poza tym konkretnym układem, — w ciągle niedostatecznym spopularyzowaniu muzyki współczesnej, bez wątpienia trudniejszej w odbiorze dla przeciętnego słuchacza koncertów symfonicznych, niż tak bardzo już „ogrzane" utwory Brahmsa czy Chopina.

Postanowiliśmy nie ujawniać nazwisk naszych rozmówców — kompozytorów. Mamy natomiast nadzieję, że ta pierwsza otwarta konfrontacja poglądów wywoła następne, zakończone konstruktywnym rozwiązaniem podstawowego zarysowanego w tym dwugłosie problemu: roli łódzkiej Filharmonii w upowszechnianiu i popularyzowaniu dorobku twórców muzyki współczesnej (awangardowej poszukującej). Wydaje się, że zadeklarowana przez władze PFŁ oferta mogłaby — bez szkody dla ambicji twórców — zostać przez nich rozpatrzona. Nie podzielamy bowiem przekonania kompozytorów, jakoby jedynie „odgórne decyzje" mogły zmienić postawę dyrekcji Filharmonii.

Mam natomiast nadzieję, że przedstawiony tu dwugłos, wzbogacony być może innymi głosami: samych zainteresowanych i Czytelników, przyspieszy porozumienie. Dla dobra obu stron. I jednej, wspólnej przecież sprawy.

„Kiedy dorośli są zakłamani, dzieci doskonale czują fałsz"
Foto: Archiwum

DOROŚLI SĄ ZAKŁAMANI

Z reżyserem WOJCIECHEM FIWKIEM rozmawia Konrad Frejdlich

— Znamy się już tak dawno i tak dobrze, że zawsze znajdzie się jakiś pretekst do rozmowy, która pozwoli nam się poznać jeszcze lepiej. A propos: jak się czujesz jako laureat nagrody Prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży?

— Nie chcę być za skromny i powien, że każdy człowiek w skrytości ducha oczekuje, poza słowami krytyki, jakiejś zachęty wobec tego, co robi. Tak też przyjąłem tę nagrodę: jako rodzaj rekompensaty za to, co przez ponad ćwierć wieku, zrobiłem dla dzieciaków jako reżyser filmowy.

— Niektórzy uważają, że dla dzieci tworzy się tak samo jak dla dorosłych, tylko jeszcze trudniej. Czy odnosi się to także do filmu?

— Jak najbardziej. Trawestujesz przecież wielokrotnie cytowane powiedzenie Gorkiego, że dla dzieci trzeba robić tak samo, jak dla dorosłych, tylko jeszcze lepiej. Ale w filmie to „lepiej" związane jest z dodatkowymi kłopotami i trudnościami. Na ogół wiadomo przecież, że literatura i film posługują się innym językiem przekazu. Literatura, ze względu na swą tradycję, porusza się po terytorium znanym, gdzie czuje się pewnie. Inaczej smarkaty, mimo wszystko, film. Zleceniodawcy, a są nimi wszechwładna Tv, kinematografia i w pewnym stopniu Ministerstwo Oświaty, są nadzwyczaj ostrożni. Wygląda nawet na to, że ludzie, którzy tego rodzaju filmy zamawiają albo akceptują, a więc różni redaktorzy i opiniodawcy, znajdują się w sytuacji osób całkowicie bezradnych, bo nie przypuszczam, aby świadomie zaniżali poziom i wymagania pedagogiczne.

— Ależ jest to wręcz karygodne...

— Uważam, że dzieje się to ze stratą dla dzisiejszego, najmłodszego pokolenia. Jest to strata nie do odrobienia, skoro pozbawia się dzieci w ten sposób ważnego elementu edukacji. Kiedy wyrosną, będzie już za późno, aby odrabiać popełnione przez nas błędy. Niestety, jako reżyser nie potrafię przebić muru.

— Czy gdybyś wcześniej wiedział o przeszkodach, jakie napotka na swej drodze twórca, który chce robić filmy dla młodej widowni, to zdecydowałbyś się mimo wszystko „rozwalać mury"?

— Myślę, że tak. Najbardziej frapujące w tych tematach dla młodej widowni jest przecież zmaganie się z surową materią, z surowym materiałem aktorskim, bo w moich filmach grają dzieci. Cokolwiek się robi, trzeba spełniać swoją pracę z osobistym, wewnętrznym przekonaniem, że jest pożyteczna. A mnie zawsze frapowało zmaganie się z przeciwnościami i w najbardziej konfliktowych sytuacjach potrafiłem zachować zimną krew. Pociągają mnie także niebezpieczeństwa, które kryją się w samej istocie filmu jako wypowiedzi autorskiej. I, przyznam się, ogromnie emocjonujące jest to, jakby lepienie z gliny konkretnych postaci.

— To są motywacje osobiste...

— Nie znam lepszych, bardziej angażujących. Niezależnie od tego mam w sobie zacięcie pedagogiczne, choć nie wiem, czy to najlepsze określenie. W rozmowie z pewnym dziennikarzem stwierdziłem, że szukam rekompensaty za utracone dzieciństwo, bo najlepsze lata zabrała mi okupacja i właściwie nie znam beztroski dziecięcych zabaw. Dopiero film uprzytomnił mi, że one istnieją.

— Ale chyba w swych motywacjach nie pomijasz faktu, że istnieje ogromne zapotrzebowanie społeczne na takie filmy, że istnieje wielka młodzieżowa widownia?

— O tej widowni nie można zapomnieć, bo jest nie tylko największa i najpotężniejsza, ale także najbardziej niezawodna i chłonna. Ktoś obliczył, że widownia dziecięca stanowi 80 proc. wszystkich odbiorców filmów.

— Ale ludzie odpowiedzialni za dystrybucję filmów chyba nie zdają sobie z tego sprawy?

— To prawda, że filmów dla dzieci praktycznie nie ma na naszych ekranach. A już filmy krajowe policzyć można na palcach. W Polsce istnieje wąziutki krąg reżyserów, którzy zajmują się tą problematyką, a i ci, najbardziej wytrwali, jak Nasfeter, zaczynają się jakby przed nią uchylać, przechodzą na pisanie scenariuszy.

— Jako człowiek „siedzący w branży" potrafisz chyba wytłumaczyć to zjawisko?

— Nie mogę tego zrozumieć. A raczej nie potrafię usprawiedliwić instytucji, które chyba zaniedbały swoje obowiązki. Przecież do filmów dla dzieci nie trzeba dokładać, a więc nie względy ekonomiczne zaważyły na ich braku. Łatwiej już zrozumieć mi realizatorów. Jest ich tak mało, bo praca jest ogromnie nieopłacalna, wymaga osobistej pasji i często wiele wysiłków przynosi nikły efekt. Film dla dzieci był przecież przez krytykę, a także dystrybutorów traktowany jako twórczość przez małe „t". Wystarczy przecież przypomnieć wszystkie zmagania, jakie od lat toczy Komisja do Spraw Filmu dla Dzieci i Młodzieży działająca przy Stowarzyszeniu Filmowców Polskich.

— To rodzi nadzieję, że pojawią się nowi realizatorzy, którzy będą mieli odwagę dźwigać to brzemię?

— No, oni się przecież pojawiają, chociaż bardzo sporadycznie. Były kiedyś bardzo ambitne plany, była propozycja, żeby stworzyć zespół realizatorów filmowych, który zajmowałby się wyłącznie obrazami dla młodej widowni. Bo istnieje wzorzec w postaci instytutu Mary Field grupującego nie tylko realizatorów, ale psychologów, pedagogów. Są więc takie wzory i można by także u nas podjąć produkcję tych filmów w sposób zorganizowany. Na kierownika zespołu był swego czasu proponowany Janusz Nasfeter, trudniej było o kandydaturę kierownika literackiego, ale wszystko to się rozwiało i już od dłuższego czasu jest w tej sprawie cicho. A przecież i Czesi i Rosjanie potrafili rozwiązać problem. W Związku Radzieckim wytwórnia imienia Gorkiego specjalizuje się w tematyce dziecięcej. Także Czesi bardzo poważnie traktują sprawę edukacji dziecka przez film. U nas nie ma dla tych spraw właściwego zrozumienia.

— Może po prostu nie masz pełnego rozeznania w tej sprawie?

— Na jednym ze zjazdów naszej partii były wysunięte postulaty opracowane przez Juliana Kulika dotyczące produkcji filmów dla dzieci. Znalazły się one nawet w końcowych wnioskach. Od tamtej pory trwa cisza. Oficjalnie stwierdza się, że jest to niezmiernie ważna dziedzina twórczości. Istnieją także nagrody, które mają zachęcić do podejmowania tej problematyki.

— A jak z tą zachętą jest w rzeczywistości? Z czym spotyka się twórca, który chce zrealizować film dla dzieci?

— To nie jest prosta sprawa. Istnieje wprawdzie wiele książek dla dzieci stanowiących zazwyczaj bazę scenariuszową, ale są one najczęściej nieprzekładalne na język filmu, albo też jakieś miałkie, nieważne, wtórne i schematyczne. A jeśli nawet uda się doprowadzić do realizacji jakiegoś tematu, to następną przeszkodą, i to boleśnie realną, są ci, którzy temat mają zaakceptować i za wszelką cenę starają się obniżyć loty usprawiedliwiając swoją ignorancję jakimiś wydumanymi wymaganiami wychowawczymi. Szczególnie u nas pseudo-pedagogizacja w sztuce jest czymś strasznym.

— Czy można by powiedzieć, że jest to po prostu fałszywe widzenie młodego pokolenia przez członków różnych komisji, redaktorów itp.?

— Jestem pilnym obserwatorem świata młodych: mam bezpośrednie kontakty z rówieśnikami moich bohaterów, obserwuję ich na ulicy, często z nimi rozmawiam. I nieźle orientuję się, jaki jest stan świadomości dzieci, a właściwie młodych obywateli. I to co im proponujemy, jako utwory adresowane specjalnie do nich, jest czymś niesłychanie nietrafnym, bo wobec powszechności dostępu do telewizji podziały na wiek widza są raczej umowne. Przecież tylko nieliczni rodzice zabronią swym dzieciom oglądania programów dla dorosłych. Zresztą życie młodego pokolenia i dorosłych ogromnie się wymieszało. Kiedyś były jakieś tajemnice dorosłych, istniał wyraźnie zarysowany świat młodych i starych, pewnych rzeczy dzieci nie mogły nawet słyszeć i dowiadywały się o nich pokątnie. A teraz jest jawność życia wszelkiego autoramentu.

Musimy więc przyjąć, że dzieci znają inną obyczajowość i mają inną świadomość społeczną, a nawet polityczną. Wobec takiego rozwiniętego stanu świadomości tych młodych my, jako pedagodzy, czy to w szkole, czy na sali kinowej, stajemy się w oczach dzieci po prostu pośmiewiskiem.

— Czy uległy więc kompromitacji autorytety społeczne i głoszone przez nie wartości, czy też sposób propagowania tych wartości powoduje, że ulegają one degradacji?

— Moim zdaniem jedno i drugie. I dlatego nie wolno nam już dłużej co innego mówić, a co innego robić. Kiedy dorośli są zakłamani, dzieci doskonale czują fałsz. I śmieją się, gdy przedstawiamy im pseudodramaty czy pseudokonflikty. Dziecko chce identyfikować się z bohaterem, ale ten bohater nie może być papierowy.

W porównaniu z krajami, które przeżywają te same problemy, co my, jesteśmy ogromnie zapóźnieni w dziedzinie filmów dla najmłodszej widowni. Nasi sąsiedzi podejmują śmielsze tematy, bardziej odpowiadające potrzebom widowni i bliższe realnego życia. My stosujemy półśrodki, a nawet ćwierćśrodki.

— Rzeczywiście, to często wygląda tylko na odfajkowanie sprawy, jakby ludzie, którzy decydują o tej sytuacji, sami nie wierzyli w skuteczność zaproponowanych metod wychowawczych.

— A przecież nie chodzi o to, żeby młodzieży przekazywać jakieś negatywne wzorce. Chodzi jednak o to, aby nie traktowano wypowiedzi artystycznej jako instruktażu. Bez konfliktu, bez walki zła i dobra, każdy film będzie tylko jałowym pustosłowiem, zrzędzeniem. Dobro w filmie powinno zwyciężać, ale trzeba stosować różne rozwiązania, aby nie popaść w sztampę. Zresztą złe wzorce estetyczne są równie groźne dla młodego człowieka jak negatywne wzorce zachowań.

— Odczuwasz więc to samo co ja. Stworzyliśmy cały szereg śmiesznych tabu, które z dobrodziejstwem inwentarza przemycone zostały do naszej rzeczywistości. Bo może się mylę, że nie pasują one do nowych warunków społecznych, do nowej sytuacji psychologicznej?

— Nie. Dawniej dzieci dwunastoletnie nie wiedziały przecież, co to polityka. Żałuję czasem, że nie posiadam machiny, która na żywo, w całej złożoności zarejestrowałaby rozmowy prowadzone przez dzieci na trzepaku. Trzepak nie przestał być przecież podwórkowym klubem dyskusyjnym. Byłem kiedyś świadkiem takiej arcyinteresującej rozmowy, kiedy dwunastoletnie dziewczynki i chłopcy dyskutowali problem wietnamski, roztrząsając przy okazji problematykę światowego pokoju na tle tamtej wojny.

— Uczulenie na sprawy wojny nie jest chyba nawet u najmłodszych przypadkowe, przemawia przez nich „doświadczenie genetyczne" wyniesione z domu. A przecież filmów o wojnie dla dzieci właściwie nie ma. Nie wiem, czy to słuszne.

— To nie jest tylko sprawa wojny, ale także najnowszej historii. Tu się robi najwięcej uników. Bo nie wiadomo dlaczego uważa się, że dzieci potrafią strawić tylko przygodę, fantastyczną opowiastkę i w ogóle ple-ple.

— Czy nie dlatego właśnie podjąłeś się realizacji filmu „Pogrzeb świerszcza", który będzie twoim debiutem w dziedzinie pełnego metrażu? Jest to wprawdzie film adresowany do dorosłej widowni, ale przecież problemy dzieci zostały w nim wyraźnie zaakcentowane. Odczytuje go nawet jako obronę dziecka przed fałszywymi metodami wychowawczymi, które prowadzą do wypaczenia osobowości.

— Coś z tego, o czym mówisz, chyba było. Nie podjąłem przecież tego tematu tylko dlatego, że jestem specjalistą od pracy z dzieckiem przed kamerą. Raczej dlatego, że problem podjęty w scenariuszu leżał w jakiś sposób na linii moich poszukiwań. Co prawda z istotną różnicą. W twórczości dla młodej widowni staram się wyeliminować dorosłych, ukazuję wyłącznie świat rówieśników widzów. W „Pogrzebie świerszcza" adresatem są wychowawcy, rodzice. Film pokazuje wprawdzie tylko jeden model wychowania, ale motywacje ma szersze: w pogoni za szczęściem, dobrobytem, karierą łatwo zatracić wartość większą, jaką jest dziecko.

Chętnie jednak zrealizowałbym film o innym modelu wychowawczym, który jest zresztą dzisiaj, kto wie czy nie powszechniejszy. Ten model przejawia się w emocjonalnym, a może nawet czułostkowym stosunku do dziecka. Nieustanne rozpieszczanie, przesładzanie prowadzi do wychowania egoistów, egocentryków. Dziecko, które ma wszystko, co tylko jest dostępne, pozbawione jest pragnień, marzeń i przez to uboższe wewnętrznie. Dzieci wychowane na zimno i dzieci wychowane czułostkowo są równie nieszczęśliwe. Oczywiście motywy postępowania rodziców są różne. W pierwszym przypadku rodzice mają mało czasu, więc muszą rekompensować dziecku brak czułości przez rzeczy, przez prezenty. W drugim przypadku dzieci są znudzone nadmiarem czułości i rzeczy. Dochodzi do tego, że dwunastolenia dziewczynka nie posiada jeszcze tylko męża, a chłopiec samochodu.

— A czy istnieją jeszcze wrażliwe dzieci, skoro popełniamy tak wiele błędów wychowawczych?

— Na pewno istnieją. Kiedyś, gdy zszedłem do piwnicy, byłem świadkiem ciekawej sytuacji. Przy okienku piwnicznym rosną kwiaty. Zauważyłem tam dwie dziewczynki. Jedna z nich zaczęła przemawiać do kwiata, że jest jej różyczką. Nazywała kwiat po imieniu i z tego, co mówiła, wynikało, że przychodzi codziennie, aby go podlewać. Jej koleżanka natychmiast także wybrała sobie różę nadając jej imię. I postanowiła codziennie ją odwiedzać. To dla takich wrażliwych widzów chciałbym robić moje filmy.

— Czy jest ich rzeczywiście coraz mniej?

— Nie wiem. Ale denerwuje mnie, że współczesna szkoła propaguje mimo wszystko XIX-wieczny model wychowawczy bez konsekwencji tamtego modelu. Szkoła chętnie zarzuca rodzicom błędy wychowawcze, bo wiadomo, że matka czy babka mają miękkie serce, ale sama nie postępuje lepiej. Weźmy choćby kodeks ucznia. Ileż tam pięknych zasad. A kto dziś o nim pamięta? Brak konsekwencji.

Ja nieprzypadkowo wybrałem sobie jako bohatera ucznia szkoły podstawowej. Bo wyobrażam sobie, że do dzieci w tym wieku, co moi bohaterowie, coś dotrze, można je kształtować.

— Widząc tyle niebezpieczeństw, co proponujesz jako twórca?

— Proponuję rozpocząć chociaż dyskusję o tych sprawach. Najwyższy czas na otwarcie frontu. Jest to problem trudny, gdyż nasze dzieci jakby dominują nad świadomością, ale dyskutować trzeba.

— W imieniu czytelników „Odgłosów" chcę Ci podziękować, że zechciałeś poruszyć tę sprawę.

Film Wojciecha Fiwka „Józia", ekranizacja opowiadania Anny Seghers, nakręcony w zespole „Profil", w koprodukcji z TV NRD, spotkał się tam z entuzjastycznym przyjęciem, a wielka pisarka przysłała reżyserowi list z podziękowaniem, za trafne oddanie klimatu jej prozy. Oto tylko niektóre głosy prasy o tym obrazie (film był emitowany trzykrotnie):

„Die Union" piórem G. S. w publikacji „Odważna Józia", stwierdza:

„Polski reżyser Wojciech Fiwek, spożytkował wieloletnie doświadczenie telewizyjne, a posiada około sześćdziesięciu filmów, z czego blisko czterdzieści nakręconych z dziećmi. Dla swego zamysłu filmowego pozyskał Monikę Alwasiak, która nie tylko w wyglądzie, ale także bogactwie przeżyć, nie mogła już bardziej odpowiadać literackiemu pierwowzorowi".

„Freiheit" w recenzji „O sile słabości", podpisanej przez dr B. Bernhardta, zauważa:

„Ten film był osiągnięciem dziewczynki i reżysera Wojciecha Fiwka, który kierując tym dzieckiem, zrozumiał je i pomógł w inscenizacyjnych dokonaniach, a także zrealizował z sukcesem niezwykle trudny zamysł, bowiem film opiera się wyłącznie na grze dziecka".

„Neues Deutschland" w recenzji „Wielka ofiara małej dziewczynki Józi", sygnowanej przez Katję Stern, podkreśla:

„Realizacją kierował Wojciech Fiwek, reżyser, który posiada ogromne doświadczenie w pracy z dziećmi.

Było pewne ryzyko uczynić dziesięcioletnie dziecko punktem ciężkości filmu telewizyjnego, którego treść zależy silniej od wewnętrznego napięcia niż od dramatycznej akcji. Mała odtwórczyni głównej roli, Monika Alwasiak, jako Józia i Radosław Arkuszyński, jako Janek, to ryzyko Wojciecha Fiwka w pełni usprawiedliwiają".

„Tribune" piórem Hermanna Schirrmeistera, w opinii „Wspaniała Józia" uważa:

„Z „Józią — córką delegatki" dosięgnął nas kameralny film o rzadko spotykanej, emocjonującej poetyce i sile".

„Banen—Echo" w ocenie Evy Rupprecht, pt. „Korzystna koprodukcja" uzupełnia tę opinię:

„Wielkie oczy w szczupłej, cichej twarzy nie opuszczają nas, chociaż ekran jest już wygaszony. Są to mówiące oczy, opowiadają nam o tamtym dziecku, które walkę klasową i wiedzę o związanych z nią ofiarach poznało już w kołysce".

„Nordliche Zeitung" w publikacji „Oczy pełne strachu", autorstwa r. p. dodaje:

„Niewyszukana dyskrecja, z którą Fiwek przedstawia wszystko na ekranie — kadry przypominają zresztą ekspresyjne grafiki Käthe Kollwitz, o życiu berlińskich rodzin robotniczych — rzeczywiście jest najbardziej odpowiednia dla opowiadania Anny Seghers". **K. F.**

BEAUBOURG

Beaubourg — słowo jeszcze przed dwoma laty obce — dziś stało się nad Sekwaną i w szerokim świecie znane tak, jak Luwr, Wieża Eiffla, czy Łuk Triumfalny. Beaubourg, największe w Europie muzeum sztuki współczesnej, nazwane oficjalnie Narodowe Centrum Kultury i Sztuki im. Georgesa Pompidou, zainaugurowało swą działalność 18 miesięcy temu. W okresie tym muzeum zwiedziło 10 milionów osób.

Budowie muzeum, której pomysłodawcą był G. Pompidou, towarzyszyło wiele kontrowersji i gwałtownych sporów. Spowodowała je przede wszystkim nietypowa bryła architektoniczna przyszłej placówki. Gmach jest ogromny, 12-piętrowy, przypomina superparowiec albo rafinerię. Na zewnątrz budynku znajduje się plątanina rur, przewodów, kanałów, pomostów, zakomponowanych w kontrastowych kolorach z przewagą błękitu. Przeszklone wnętrza są funkcjonalne i estetyczne.

Sukces zawdzięcza Beaubourg głównie nowościom rozwiązań. Jest to właściwie jedyne muzeum na świecie, które funkcjonuje na zasadach agencji informacyjnej dla szerokich mas. Jednym z jego celów jest obalenie przedziałów, jakie dzielą poszczególne dziedziny artystyczne, zakładając że w wyniku postępu technologii tworzenia artyści różnych dziedzin odwołują się często do tych samych technik i dochodzą nierzadko do podobnych w wyrazie osiągnięć. Z drugiej zaś strony masowa publiczność ma okazję do zapoznania się z najciekawszymi osiągnięciami sztuki współczesnej w tak szerokim zakresie.

Sondaże wśrod widzów potwierdzają, że największe uznanie wzbudzają rozwiązania ilustrujące interdyscyplinarność sztuki, dostęp do informacji o wszystkich jej dziedzinach, do wszystkiego co ostatnio wydano, nagrano, zarejestrowano wizualnie lub audiowizualnie. Ogląda się to wszystko naraz, rok po roku, styl po stylu, epoka po epoce, jak stronice wielkiej książki o sztuce współczesnej od jej początków po czasy dzisiejsze.

Beaubourg podzielony jest na cztery oddziały. Muzeum Narodowe Sztuki Współczesnej, Centrum Kreacji Przemysłowej, Publiczna Biblioteka Informacyjna oraz Instytut Poszukiwań i Koordynacji Akustyczno-Muzycznej, który jest absolutną nowością w takim rozmiarze.

W muzeum czynne są wystawy stałe i ekspozycje czasowe, jak np. Paryż — Nowy Jork, która się już odbyła, Paryż — Berlin, która trwa i Paryż — Moskwa, w przygotowaniu. Wystawy czasowe ukazują w jaki sposób współczesne kierunki sztuki rodziły się w poszczególnych krajach i jakie miały na nie wpływ kontakty twórców z poszczególnych krajów. Ekspozycje te zwiedza ok. 3—4 tys. osób dziennie.

Publiczna Biblioteka Informacyjna jest we Francji ewenementem, gdyż publiczne czytelnie i wypożyczalnie książek są tu stosunkowo mało rozpowszechnione. Obecnie ok. 600 tys. dokumentów, książek, taśm, mikrofilmów, płyt, laboratorium językowe — wszystko to czeka na zainteresowanych od zaraz i bez żadnych opłat.

Centrum Kreacji Przemysłowej proponuje z kolei spojrzenie na życie przez pryzmat przedmiotów, architektury użytecznej, znaków naszej epoki. Stąd główne zainteresowanie oddziału architekturą, urbanistyką, projektami przemysłowymi, wykorzystaniem przestrzeni użytkowych. Wystawy te ogląda ok. 300 tys. osób miesięcznie, to jest mniej więcej tyle co Wieżę Eiffla.

Czwarty dział Centrum Kultury i Sztuki Instytut Poszukiwań Akustyczno-Muzycznych działa jeszcze nieoficjalnie, pod kierownictwem Pierre Bouleza, współtwórcy muzyki aleatorycznej. Dla Instytutu przygotowywane są obecnie specjalne (ze względów akustycznych) pomieszczenia w podziemiach Centrum. Już obecnie Instytut zorganizował ok. 70 audycji (koncertów, seminariów, spotkań z twórcami) pod wspólną nazwą „Droga przez wiek XX".

Nie sposób także nie zwrócić uwagi na zjawisko, które jest pośrednim ale niezbitym dowodem sensu istnienia i autentycznego sukcesu Beaubourga. Na obszernym placu przed gmachem pojawili się kuglarze, iluzjoniści, kobziarze, połykacze ognia i szkła Przed wiekami sztuka jarmarczna była jedyną szeroko dostępną ludowi, żywiła się atmosferą spontaniczności. Wraz z pojawieniem się Centrum Georgesa Pompidou narodził się przed nim jarmark cudów. A nie ma go przecież przed Luwrem!

W prasie włoskiej coraz częściej wysuwa się przypuszczenie, iż plan porwania i zabójstwa Aldo Moro opracowała szczegółowo i dużo wcześniej amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza. Strategicznym celem tego planu, jak sugeruje włoska prasa, było przeszkodzenie w nawiązaniu konstruktywnego dialogu chrześcijańskich demokratów z Włoską Partią Komunistyczną oraz niedopuszczenie do stworzenia parlamentarnej większości z udziałem komunistów.

WŁOCHY

ALDO MORO — ŚLEDZTWO W MARTWYM PUNKCIE

Istotnie, śledztwo w sprawie uprowadzenia i zabójstwa b. premiera Włoch, drepcze w miejscu już od przeszło trzech miesięcy. Prowadzi się śledztwa, później obala się ich wyniki, dokonuje się spóźnionych odkryć i efektownych aresztowań, żeby później poinformować, że chodziło o „akcję pokazowe" itd. itp. W rzeczywistości ukrywa się przed opinią publiczną fakt, że poszukiwania i dochodzenia nie ruszyły z miejsca. Najwięcej podejrzeń włoskiej opinii publicznej wzbudza fakt, że dopóki porwany Aldo Moro jeszcze żył, zrobiono zadziwiająco mało w sprawie wykrycia jego porywaczy. Terroryści sądząc po wszystkim, mogli liczyć na naiwność, roztargnienie i krótką pamięć, jak również absolutny brak operatywności organów śledczych. Przykład: działalność Głównego Biura Operacyjnego do Spraw Terroryzmu. Oto w materiałach śledztwa znajduje się obszerny dokument — spis wszystkich przedmiotów i papierów wykrytych 18 kwietnia w konspiracyjnym lokalu „Czerwonych Brygad" w Rzymie, na via Gradoli, to jest nieco ponad miesiąc od momentu porwania Moro. Na sporządzenie wspomnianego dokumentu dwaj podoficerowie — karabinierzy potrzebowali aż 10 dni. W spisie wymienia się 1115 przedmiotów, wśród których są oczywiście i niezwykle ważne dla dalszych poszukiwań. Jednakże nie wspomina się w nim choćby o jednym rewolwerze czy pistolecie automatycznym, które również znaleziono w tym konspiracyjnym lokalu „brigate rose", a które pokazywano w telewizji i na fotografiach publikowanych w prasie. Poza tym, jak informuje reporter tygodnika „L'Europeo", na via Gradoli znajdowały się wszystkie niezbędne dokumenty do ustalenia w przeciągu kilku godzin tożsamości terrorystów, których przynależność do „czerwonych brygad" ustalono w śledztwie 10 tygodni wcześniej.

Wiadomo też, jak przyznał dyrektor policji w Rzymie, iż dochodzenie w sprawie członków rzymskiej grupy „czerwonych brygad" rozpoczęło się w lutym br. „w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa sędziego Palma i już na długo przed 17 maja przeprowadzono aresztowania. Innymi słowy — rzymscy „brygadziści" zostali zidentyfikowani najprawdopodobniej już w kwietniu br., lecz pozostawieni na wolności. W jakim celu? Żeby wyśledzić przywódców? Ale wówczas pozostaje nie wyjaśniony fakt, dlaczego policji wymknął się Mario Moretti, jeden z głównych organizatorów „czerwonych brygad", wymieniony wśród innych 20 terrorystów w spisie, który policja rozpowszechniła natychmiast po krwawych okolicznościach porwania Aldo Moro...

W spelunce „czerwonych brygad" na via Gradoli odnaleziono na przykład dokładne dane — imię, nazwisko, adres i dwa numery telefoniczne — okulisty, który wypisał receptę na okulary dla terrorystki Barbary Balzarani, dawno zidentyfikowanej przez policję, która uciekła najprawdopodobniej z Morettim. Obecność Balzarani w tym zakonspirowanym lokalu, jak wynika z materiałów śledztwa, ustalono dopiero po tym, kiedy udało się dokładnie określić, iż znalezione na miejscu soczewki kontaktowe należały do niej. Organa śledcze doszły do tego wniosku dopiero 60 dni po rewizji w lokalu terrorystów na via Gradoli! Czy nie można było zrobić tego wcześniej...

Nasuwa się myśl, iż wszystkie te wyliczenia trofeów służą na razie tylko jednemu celowi: pokazują, jak wielkimi środkami dysponują „czerwone brygady". Podejrzenie, iż Aldo Moro padł ofiarą sił stojących za plecami „czerwonych brygad", ogarnia coraz szersze kręgi członków Partii Demokracji Chrześcijańskiej. Co więcej, podejrzenie to umocniło się w zazwyczaj ściśle izolowanych gabinetach kierownictwa PDCh. W ostatnich tygodniach, niektórzy z liderów PDCh. — w tym wielu nader wpływowych — wypowiedziało się na głos, co ich niepokoi. W atmosferze bladego strachu i niepewności wśród członków partii chrześcijańskiej, zaczyna się zarysowywać obraz intryg i manewrów poza granicami Włoch, które najprawdopobniej doprowadziły do porwania i zabójstwa przewodniczącego PDCh., Aldo Moro. To podejrzenie mrozi krew w żyłach członków włoskiej Partii Demokracji Chrześcijańskiej, bowiem wskazuje ono na to, iż padł on ofiarą spisku, w którym wzięły udział potężne ekonomiczne i wojskowe ugrupowania kraju uważanego dotąd za sojusznika Włoch, a mianowicie — Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Z ogromnym trudem PDCh. wysuwa takie podejrzenie pod adresem USA. Przez ponad 30 lat chrześcijańscy demokraci przyzwyczaili się widzieć w Ameryce swego rodzaju ideał, niezawodny fundament politycznego oparcia oraz wzorzec zachodniej demokracji, który należy bronić zawsze i za wszelką cenę. Niemniej, obecnie wielu członków PDCh. przypuszcza, że właśnie władze USA są zainteresowane w tym, żeby siłą blokować proces kształtowania się nowego stosunku sił politycznych w Zachodniej Europie. Pierwszy w PDCh. wysunął taką hipotezę b. zastępca ministra spraw wewnętrznych, Giuseppe Tzamberletti, uważany za doskonałego znawcę problemów dotyczących tajnych służb i wywiadu. Zachodnia Europa z jej tendencją do samodzielności, jak utrzymuje Tzamberletti, „faktycznie w pewnym sensie zaczyna konkurować z tradycyjnymi kompaniami i mocarstwami, nie życzącymi sobie naruszenia ustabilizowanej równowagi polityczno-strategicznej".

Zresztą, jeśli chodzi o b. zastępcę min. spraw wewnętrznych, to nie po raz pierwszy mówi on otwarcie na ten temat: „Po katastrofie pociągu pospiesznego „Italicus" w pobliżu Bolonii, w sierpniu 1974 roku, spowodowanym przez terrorystów, udzielił on wywiadu tygodnikowi „Panorama", w którym wprost oskarżył CIA o współudział w tej krwawej zbrodni. Warto zauważyć, że tym razem Tzamberletti nie jest osamotniony. 22 lipca br. lider parlamentarnej frakcji PDCh., Flaminio Piccoli, rozpowszechnił za pośrednictwem katolickiej agencji informacyjnej ASKA artykuł, zawierający jak gdyby mimochodem rzucone pytanie, które, jeśli się w nie dobrze wczytać, trafia w sam środek gniazda os: „Być może, że rzeczywiście tu i ówdzie nie życzą sobie, żeby Włosi sami tworzyli swoją politykę, żeby znajdowali własne i samodzielne drogi rozwiązywania swoich wewnętrznych konfliktów i kłopotów?".

W związku z tym wielu parlamentarzystów zwróciło uwagę, iż Piccoli utrafił chyba w samo sedno strategicznego zamysłu Moro. Ów zamysł, jak utrzymują oni, polegał na tym, żeby wyprowadzić Włochy z ubliżającej im sytuacji stale dozorowanego, któremu zabroniono odejść od politycznej orbity USA, za co przywódca PDCh. zapłacił życiem. Aluzje pod adresem Stanów Zjednoczonych znalazły się także w projekcie ustawy o powołaniu komisji parlamentarnej do wyjaśnienia zabójstwa Aldo Moro, wniesionej przez posła, Carlo Francanzzani, który w PDCh. reprezentuje koła najbardziej lewicowe i najmniej atlantyckie. Propozycja spotkała się z nieoczekiwanie gorącym poparciem ze strony szeregowych parlamentarzystów chrześcijańskich. W liczbie głównych celów działalności wspomnianej komisji figuruje następujące sformułowanie: „Wyjaśnić, czy za szyldem „czerwonych brygad" nie ukrywają się i nie działają wspólnie z nimi inne organizacje politycznych terrorystów, kierowane lub koordynowane przez tajne służby zagranicznych państw".

W ten sposób, pisze komentator „Panoramy", już w końcu lipca argumenty Tzamberlettiego, pytania Piccoli i podejrzenia Francanzzaniego spowodowały stan wrzenia. Odtąd nie jakieś pokrewne grupy, lecz działacze różnych ugrupowań dostrzegają, iż w zasadzie zgadzają się co do możliwości amerykańskiego udziału w „sprawie Moro". Wersje są przeróżne. Czy był to międzynarodowy spisek ze znakiem „made in USA", czy też należy mówić tylko o poszczególnych „nie poddawanych kontroli" sektorach Departamentu Stanu i Pentagonu, tak dalece zaślepionych antykomunizmem, że nie ma takich kroków których by nie podjęły, żeby tylko nie dopuścić do udziału komunistów w rządzie Włoch.

JERZY CZECH

KLIMAT A LUDZIE

W ostatnich czasach, w wielu rejonach świata obserwuje się tak znaczne odchylenia pogody od normy, iż powstał problem: czy w ogóle na naszej planecie zmienia się klimat, a jeśli tak, to w jakim kierunku — ochłodzenia czy ocieplenia? Większość klim tologów jest zgodna co do tego tylko w jednym: odnotowuje się pewien wzrost klimatycznej destabilizacji.

Klimat zmienia się wg prawideł, których nauka, ogólnie rzecz biorąc, jeszcze nie zna. Do tych naturalnych przyczyn dochodzą teraz przyczyny sztuczne, nie ulega bowiem wątpliwości iż na klimat wpływa również działalność człowieka.

Dwa lata temu prasa światowa podniosła wielki szum wokół badań, z których wynikało szybkie nadejście okresu lodowcowego. Inni uczeni z coraz bardziej wyraźnym niepokojem mówią znów o ociepleniu atmosfery. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, iż zagadnienie to wiąże się po prostu z niepowstrzymanym wzrostem produkcji energii, właściwym cywilizacji przemysłowej. Czyż cała ta energia, z której korzystamy, nie prowadzi w ostatecznym rachunku do wydzielania się ciepła do otaczającego środowiska. Tak, ale w ilościowym sensie takiego ciepła nie ma znów tak wiele. Cała energia rozprasz..na w wyniku działalności człowieka stanowi, na razie, zaledwie 1/10000 część tej energii, jaką Ziemia otrzymuje od Słońca. Źródłem niebezpieczeństwa, o wiele mniej dostrzegalnym, jest dwutlenek węgla (CO_2).

Gaz ten ma niebezpieczną właściwość: jest przezroczysty dla światła, ale, podobnie jak szkło, nie przepuszcza promienii podczerwonych. Jakikolwiek przedmiot nakryty szklaną pokrywką rozgrzewa się, stąd tzw. efekt inspektowy. Przyczyna tego zjawiska jest prosta: światło słoneczne bez przeszkód przenika przez szkło i trafia na znajdujący się pod nim przedmiot. Ten ostatni odbija otrzymywaną energię, ale częstotliwość odbijanego promieniowania zmienia się; częściowo są to promienie podczerwone. Szkło zaś jest przeszkodą nie do przebycia dla promieniowania tej częstotliwości, energia trafia w pułapkę, szkło nie wypuszcza jej, więc gromadzi się pod nim. I właśnie dwutlenek węgla ma pod tym względem takie same właściwości jak szkło.

Ludzkość używa coraz więcej paliwa mineralnego i dziś do atmosfery wydziela się 5 miliardów ton dwutlenku węgla rocznie. Ilość ta zwiększa się wraz ze wzrostem produkcji energii. Zestawmy tę liczbę z zawartością CO_2 w atmosferze, która wynosi 700 mld ton. Paliwo, które można wydobyć z głębi naszej Ziemi zawiera około 7.000 miliardów ton CO_2 i przewyższa 10-krotnie zawartość dwutlenku węgla w atmosferze. Ludzie eksploatują energię z tego paliwa i problem polega teraz na tym, jak wysokie będzie tempo tego procesu. Należy się liczyć z 5-procentowym przyrostem zapotrzebowania na paliwo rocznie, a przy takim tempie do 2100 roku zawartość CO_2 w atmosferze zwiększy się 5 do 10 razy w stosunku do epoki doindustrialnej. Jakie następstwa może to spowodować? Najpoważniejszą prognozę opracował prof. U. Kellog na zlecenie Światowej Organizacji Meteorologicznej. Wynika z niej, iż podwojenie dwutlenku węgla w atmosferze spowoduje podwyższenie średniej temperatury na Ziemi w granicach 1,5—6 stopni, a na wysokich szerokościach i w strefach polarnych wzrost ten będzie większy od 3 do 5 razy. Znaczy to, iż tam średnie temperatury mogą wzrosnąć o 10—20 stopni, co oznacza ogromny skok! Jeśli w tym tempie będzie ludzkość spalać mineralne paliwo — tego rzędu nagrzanie Ziemi może już nastąpić między 2020 a 2050 rokiem...

(C.)

WYKŁADNIA STOSUNKU POLSKI DO AKTUALNYCH PROBLEMÓW MIĘDZYNARODOWYCH

Każde **spotkanie Edwarda Gierka** z przedstawicielami prasy polskiej jest wydarzeniem. Tym razem I sekretarz KC PZPR w znacznym stopniu wykorzystał je na przedstawienie naszego poglądu na stan stosunków międzynarodowych i rozwój sytuacji w świecie.

Przede wszystkim jednak, nawiązując do krymskiego spotkania z Leonidem Breżniewem, podkreślił **kluczowe znaczenie stosunków radziecko-polskich** dla rozwoju naszego kraju. ZSRR jest głównym partnerem i wychodzi zawsze naprzeciw podstawowym potrzebom rozwoju Polski i umacniania jej potencjału gospodarczego. Zamierzenia, związane z pogłębieniem specjalizacji i kooperacji, mają obecnie tym większe znaczenie, że na Zachodzie stosuje się wobec nas różne formy restrykcji.

Oba nasze kraje przywiązane są do polityki odprężenia i robią wszystko, aby ją rozszerzać i pogłębiać, a poprawę stosunków międzynarodowych uczynić nieodwracalną.

W rozwoju sytuacji w tym kierunku **dużą rolę spełnia dialog radziecko-amerykański.** Rokowania na temat ograniczenia ofensywnych zbrojeń strategicznych mają wagę nie tylko zapobieżenia konfliktowi nuklearnemu, ale również mogą przyczynić się do zahamowania wyścigu zbrojeń i otwarcia dróg do rozbrojenia. Jest rzeczą ważną, aby to, co zostało już w nich osiągnięte, nie było zaprzepaszczone i rokowania zakończyły się pomyślnymi wynikami. Dotyczy to także rokowań wiedeńskich. Niestety, ostatnie decyzje NATO nie zwiastują niczego dobrego, a rozpętana kampania propagandowa o rzekomym zagrożeniu ze strony państw Układu Warszawskiego ma te decyzje „usprawiedliwić".

„Pragniemy, aby doszło do świadomości wszystkich — powiedział — Edward Gierek, że kraje Układu Warszawskiego nie tylko nie zagrażają nikomu, lecz wręcz przeciwnie, czynią wszystko, aby doprowadzić do ograniczenia zbrojeń, a zwłaszcza usunąć z Europy zagrożenie nuklearne".

Polska, tak jak inne kraje socjalistycznej wspólnoty, wciąż wyraża wolę pełnej realizacji postanowień Aktu Końcowego i współdziałania ze wszystkimi krajami, które pod nim złożyły swe podpisy. Wielką wagę przywiązujemy do pomyślnego rozwoju stosunków z Francją i zapowiedziana rychła wizyta prez. Giscarda d'Estaing w naszym kraju będzie po temu nową okazją. Dla odprężenia wielkie znaczenie mają również normalizacja i rozwój stosunków z RFN. Szereg spraw zostało już rozwiązanych, dla rozwiązania innych wytyczone zostały drogi. Będziemy nimi szli mimo przeszkód, jakie określone siły stawiają. Opowiadamy się też za rozszerzeniem stosunków z krajami Bl. Wschodu, Afryki i Azji, cieszą nas rozwijające się kontakty z Ameryką Łacińską.

W zupełnej sprzeczności z pokojowym odprężeniem pozostaje kurs kierownictwa Chin. Jest ono dziś propagatorem i rzecznikiem napięcia w stosunkach międzynarodowych, dąży do rozbicia koalicji sił pokoju.

„Jesteśmy zdania — mówił Edward Gierek — że nie wolno dopuścić do tego, by polityka wywoływania napięć szkodziła najdroższej wszystkim narodom sprawie odprężenia i pokoju".

Hegemonistyczny nacisk, jaki wywierają Chiny na Socjalistyczną Republikę Wietnamu, budzi w świecie zdecydowane potępienie. Zjednoczony Wietnam pragnie wnieść swój wkład w ustanowienie trwałego pokoju w tej części Azji i Polska razem z innymi krajami socjalistycznymi w pełni się z nim solidaryzuje.

* * *

I sekretarz KC PZPR na spotkaniu z dziennikarzami wyraził nasz stosunek do aktualnych problemów międzynarodowych, podkreślając, jak Polska i inne kraje socjalistycznej wspólnoty żywotnie zainteresowane są rozwijaniem stosunków z wszystkimi, którzy tego pragną. **Opowiadamy się za nieodwracalnością procesu odprężenia w świecie** i w tym kierunku działamy.

Miejsce, jakie Edward Gierek poświęcił tematyce międzynarodowej, wykazuje, jak ważne są to sprawy. Świat oczekuje trwałego pokoju. Sprawiedliwie i konsekwentnie trzeba więc rozwiązywać istniejące konflikty i budować trwałe bezpieczeństwo na wszystkich kontynentach. Dziś na przeszkodzie stoi przede wszystkim wyścig zbrojeń, nie pohamowany jeszcze, a nawet podsycany zamierzeniami militarystycznych kół wprowadzania wciąż nowych rodzajów i systemów broni. Wysiłki Związku Radzieckiego koncentrują się przeto na przerwaniu tego wyścigu i zapoczątkowaniu rozbrojenia. Chcemy wierzyć, że jesienny sezon, który wkrótce rozpocznie się w polityce międzynarodowej, przyniesie postęp w toczących się dwu i wielostronnych rokowaniach.

W. SŁAWSKI

STRACH MNIE JEDNAK OGARNIA

W niedzielę, 10 września Telewizja Polska w programie drugim pokazała nagrany uprzednio mecz polskiej drużyny reprezentacyjnej z drużyną Islandii. Mecz ten zainaugurował rozgrywki eliminacyjne do Mistrzostw Europy. Jak wiadomo wszystkim, w grupie tej grają, poza naszą drużyną i drużyną Islandii, drużyny NRD i Holandii. Z ekranu telewizyjnego wiało nudą. Obserwatorzy podkreślali jednak, że mieliśmy w Reykjaviku wyjątkowe szczęście, bo dopisała nam pogoda. W innych warunkach atmosferycznych w Reykjaviku przegrywali lub remisowali silniejsi od polskiego zespołu. Mała to jednak pociecha nawet wtedy, kiedy dowiadujemy się, że również trener zespołu holenderskiego też życzyłby sobie takiej pogody.

Po okresie „burzy i naporu" i „mocarstwowych deklaracji" przyszedł czas, kiedy w ciszy i niepewności trzeba od nowa budować narodową reprezentację. Mecz w Reykjaviku pokazał — i z tym godzą się wszyscy — że takiej reprezentacji jeszcze nie posiadamy. Aktualnie stawia się więc pytanie: kiedy będziemy ją mieli? Na to pytanie nikt nie jest w stanie dokładnie i precyzyjnie odpowiedzieć. Jerzy Lechowski napisał w „Przeglądzie Sportowym", że w Reykjaviku mówiło się, iż „ten zespół Polski stać nawet na przekroczenie zaczarowanej dotychczas bariery eliminacyjnej o mistrzostwo Europy". Jerzy Lechowski zastrzega, że „nie konkretnie „ten" zespół", lecz w ogóle polskie piłkarstwo jako całość". Teoretycznie to prawda, ale praktycznie wszystko zależy od „tego" zespołu, jaki akurat gra na boisku.

Już niedługo zobaczymy na co stać nasze piłkarstwo, a konkretnie te kluby, które wyróżniły się w poprzednim sezonie i spotykają się z zagranicznymi przeciwnikami. Swego czasu modna była teoria, że niekoniecznie trzeba mieć silne kluby skoro ma się dobrą reprezentację. W Anglii na przykład — mówiono — mają kłopoty z reprezentacją, chociaż mają silne i dobrze grające kluby. Podobnie Włosi czy Jugosławianie. Wyjątek od tej „reguły" mieli stanowić tylko Holendrzy, którzy i reprezentację mają silną i dobrze grające zespoły klubowe. Gdyby się tak poszukało uważniej po zagranicznych boiskach, to okazałoby się, że więcej jest takich wyjątków. W końcu ta „teoria" nic nie tłumaczy. Nasze klubowe zespoły — jak do tej pory — nie wytrzymywały ataków zagranicznych zespołów, poza małymi wyjątkami, ale to inna sprawa. I z reprezentacją mamy — niestety — nieustanne kłopoty. W każdym razie Wisła, Śląsk, Lech i sosnowieckie Zagłębie nie będą miały lekkiego życia w pucharowych meczach. Ostatnia ligowa kolejka pokazuje, że najwięcej szans na pozytywny wynik ma krakowska Wisła, Lech przegrał bowiem dość wysoko z Legią, Zagłębie tylko zremisowało z Szombierkami, a słabiutki mecz zagrał Śląsk. Niektórzy jednak podejrzewają, że zespoły te rezerwowały sobie siły na pucharowe spotkania, a Wisły zwycięstwo nie było znów takie trudne, bo grała z zespołem (Pogoń Szczecin) zajmującym 15 pozycję w tabeli.

VIII kolejka ligowych rozgrywek odbyła się pod znakiem nadchodzących rozgrywek europejskich pucharów oraz pod znakiem derbów w Łodzi. Mimo deszczowej pogody (a czy bywa teraz inna?) na stadionie zjawili się tłumnie kibice obu drużyn. Ogólna sympatia otaczała zespół jubilatów, którzy przynajmniej w roku siedemdziesięciolecia istnienia klubu powinien wygrywać i plasować się na dobrej pozycji. Jedenastka ŁKS jedzie jednak w tabeli ciągle w dół. Po przegranym meczu z Widzewem z 7 pozycji spadła na 9. Strach mnie ogarnia na myśl, co będzie dalej, jak tak będzie, jak jest.

Sympatia więc była po stronie piłkarzy ŁKS, ale wkrótce sytuacja się zmieniła. RTS Widzew okazało się lepszym i — co ważniejsze — skuteczniejszym zespołem. Widzewiacy wygrali kolejną rywalizację, zwiększając tym swoją przewagę nad ŁKS i utrzymując prowadzenie w lidze. Strach mnie jednak ogarnia na myśl, co będzie dalej, bo przecież Legia, Ruch i Szombierki gonią Widzew, depcząc mu już po piętach.

Strach mnie również ogarnia, gdy myślę o naszym piłkarstwie w ogóle. Niby to nie jest źle. Wygraliśmy w Reykjaviku, obdudowujemy reprezentację, łódzki zespół prowadzi w lidze. Wisła ma szanse na zwycięstwo w pucharowych rozgrywkach, a może i pozostałe zespoły dobrze się spiszą. Ale gdy uświadomię sobie, że inni gruszek w popiele nie zasypiają i też prą do przodu, to strach mnie ogarnia.

BOGDA MADEJ

Z DZIEJÓW PEWNEJ FORMUŁY

1.

O książce Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza „Modele i formuła" raczej trudno pisać w tonie rzeczowego sprawozdania i obiektywnej oceny, jaką najczęściej winien krytyk nowościom z księgarskiej półki. Można się z tezami i opisami autora zgodzić, albo z nim polemizować, ale każdy, kto interesuje się współczesną literaturą polską nie powinien przechodzić nad tą książką do porządku dziennego.

Sytuacja, w jakiej autor stawia czytelnika (a także krytyka) wynika z charakteru książki — złożyły się na nią szkice i recenzje publikowane w latach sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych. Waśkiewicz jest nie tylko rejestratorem i komentatorem młodej poezji lat sześćdziesiątych, ale przede wszystkim krytykiem towarzyszącym i programującym, bezpośrednio zaangażowanym w spory i polemiki, jednym z tych, których konstatacji nie można pominąć przy opisie współczesnych zjawisk poetyckich w naszym kraju.

2.

Jest Waśkiewicz krytykiem najkonsekwentniej chyba posługującym się kategorią p o k o l e n i a l i t e r a c k i e g o w opisie współczesnych zjawisk literackich. Doświadczenie uczy, że w badaniach literackich kategoria ta spełnia rolę raczej posiłkową, jest pomocna w uchwyceniu niektórych zjawisk, w dokładniejszym odsłonięciu pewnych mechanizmów, lepszym zrozumieniu programów i okoliczności debiutów. Pod piórem ludzi zaangażowanych w aktualne życie literackie wspomniana kategoria staje się instrumentem mającym ułatwić osiągnięcie celów doraźnych ,dobitniej sformułować czasową i intelektualną odrębność grupy rówieśników.

Przyznać trzeba, że w tekstach Waśkiewicza kategoria pokolenia literackiego okazuje się narzędziem elastycznym i ułatwiającym zrozumienie niektórych sytuacji (jeśli nie procesów) w naszej młodej literaturze lat sześćdziesiątych. Jako zdecydowany protagonista „pokolenia 1960", współuczestnik kręgu Orientacji, rekonstruuje układ sił pokolenia, eksponuje założenia, ukazuje genezę postawy nazwanej w połowie lat sześćdziesiątych przez Krzysztofa Gąsiorowskiego „wyrazem poetyckiej bezradności" wobec świata rzeczywistego. Przypomina zwietrzałą już dziś nieco opozycję: my — nasi poprzednicy, nie pomija też następców. Przy okazji tej nie ukrywa wcale, że część „pokolenia 1960" zwróciła się wyraźnie w stronę pokolenia „Współczesności", część zaś dołączyła do Nowej Fali, rezygnując z wyznawanego i praktykowanego początkowo „formulizmu". Waśkiewicz opisuje więc konkretnie zasadniczy trzon poetów kręgu orientacji: Janusza Żernickiego, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Zbigniewa Jerzynę, Mieczysława Stanclika, Jerzego Koperskiego, Jerzego Lesława Ordana, Edmunda Puzdrowskiego, Stefana Połoma, Wojciecha Kawińskiego i Jerzego Górzańskiego.

3.

„Modele i formuła" — to przypomnienie tekstów Waśkiewicza — uczestnika, stąd tak często myślowym konstrukcjom towarzyszy ton emocjonalny, wyraźna niecierpliwość, chęć natychmiastowych rozwiązań. Konstrukcje te wszelako oparte są na niezwykle rzeczowym, szczegółowym materiale. Waśkiewicz słynie zresztą z tego, że jest najwytrwalszym i najdokładniejszym kronikarzem ruchu młodoliterackiego.

W swych konstrukcjach autor „Modeli i formuły" często odwołuje się do teoretycznego dorobku awangardy. Podobnie w programowym szkicu o zaangażowaniu poezji, w którym przypomina ciągle, niestety, aktualną wypowiedź Tadeusza Peipera z roku 1926: „Z wielu stron opadają was głosy o sztuce, które szlachetnie domagają się od artysty służby społecznej, lecz które niebezpiecznie służbę tę rozumieją, jako wyłączne przedstawianie tych czy innych tematów z życia zbiorowego lub wyłącznie zaspokajanie tych czy innych potrzeb utylitarnych".

Jako swego rodzaju propozycję zgłaszała Orientacja koncepcję Krzysztofa Gąsiorowskiego, który tradycyjnemu dualizmowi: poezja „społeczna" — poezja „osobista" przeciwstawiał poezję integrującą, poezję „człowieka trzeciego", „człowieka zupełnego", który przez zjawiskową powierzchnię świata stara się docierać do tego, co światem jest naprawdę, czyli do pojęciowego wyznacznika rzeczywistości. W konsekwencji takiego stanowiska poeci kręgu Orientacji koncentrowali się głównie na społecznej świadomości. Dzieje tego kręgu świadczą, iż jego działalność nie spotkała się z przewidywanym odzewem, nie stała się przedmiotem pierwszoplanowych polemik. Sam Waśkiewicz przyznaje, że Orientacja „istniała niejako na marginesie życia literackiego'.

Operując bogatym materiałem poetyckim Waśkiewicz dowodzi, że tradycyjny model zaangażowania poezji przemija. Jego miejsce zajmuje nowa formuła zaangażowania, określana jako f o r m u ł a u c z e s t n i c t w a, oparta zresztą na synkretyzmie, jak wszystkie niemal rozwiązania we współczesnej poezji. Jest to zarazem najogólniejsza formuła działalności i twórczego dorobku poetów kręgu Orientacji.

4.

W niektórych omówieniach „Modeli i formuły" padał pod adresem jej autora zarzut mitologizacji. Zgłaszają go z reguły wyznawcy innych „szkół" poetyckich. Jest to tylko półprawda. A. K. Waśkiewicz istotnie daje świadectwo fascynacji poetycką młodością własną i kolegów po piórze i programie, ale — oddajmy mu sprawiedliwość — potrafi, gdy trzeba, zachować dystans.

Opis dokonań tylko co wymienionego kręgu nie jest wcale hagiografią. Raczej wyrazem rozczarowania wobec licznych niespełnień programowych wypowiedzi sprzed lat. Jest głosem — jak powiada autor — który powinien być podjęty. Tym razem już chyba przez kogoś, kto nie uczestniczył bezpośrednio w sporach i w konstruowaniu manifestów. Przez kogoś, kto dysponować będzie odpowiednim dystansem (w tym również czasowym), tylko z perspektywy czasu bowiem można bez obawy popełnienia uproszczeń, orzekać o istnieniu i obliczu pokoleń literackich.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, Modele i formuła. Szkice o młodej poezji lat sześćdziesiątych, Ossolineum, Wrocław — Warszawa — Kraków — Gdańsk, 1978, nakład 3500 egz., s. 226, cena zł 32.

TRAFIŁ FRANT NA FRANTÓW

„Gracze" nie mają w sobie drapieżności „Rewizora", nie niosą owej totalnej krytyki, atakującej bezlitośnie skorumpowaną machinę carskiej Rosji. Prawdopodobnie gdyby Gogol nie stworzył Chlestakowa i Horodniczego, a także nie napisał wspaniałych opowiadań „Płaszcz" i „Nos", „Gracze" nie zapewniliby mu światowej sławy. Niemniej jest to sztuka napisana z niewątpliwym kunsztem dramaturgicznym, zawierająca bogaty materiał dla aktorów.

Wieczór spędzony przy telewizorze na oglądaniu „Graczy" nie był też z pewnością stracony, choćby dlatego, że co najmniej kilku wykonawców skorzystało z możliwości tkwiących w gogolowskim tekście, prezentując nam aktorstwo świetnej marki. Wymieniłbym tu przede wszystkim Bronisława Pawlika, a także Gustawa Lutkiewicza, Wiesława Michnikowskiego, Kazimierza Kaczora oraz Mieczysława Czechowicza — w krótkim epizodzie.

Reżyseria Stanisława Bielińskiego nie była próbą znalezienia specyficznie telewizyjnych ekwiwalentów za straty, jakie ponosić musimy, nie obcując w teatrze telewizji z żywym aktorem, a tylko z jego fantomem wypromieniowanym ze szklanego ekranu. Takie ambicje przejawiał Jerzy Gruza w swoim głośnym telewizyjnym „Rewizorze", Biliński postawił sobie zadania skromne i w ich granicach operował. Mieliśmy zatem do czynienia ze sfotografowanym teatrem, a reżyser starał się raczej tylko nie przeszkadzać aktorom żadnymi agresywnymi ingerencjami w wizualną stronę widowiska.

Można by więc powiedzieć, że zaprezentowano nam przedstawienie wyreżyserowane poprawnie, ale bez ciekawszej koncepcji, bez klucza obrazowego, który wzbogacałby tekst Gogola o telewizyjne środki ekspresji. Jakie tego rodzaju środki można by w stosunku do „Graczy" zastosować? Nie wiem. Zapytajcie Gruzę, ten by wam z pewnością odpowiedział.

Jeżeli jednak inscenizacja telewizyjna „Graczy" pod tym względem trochę mnie rozczarowała, to przecież zdaję sobie sprawę, że tylko nieliczne spektakle teatru TV zmierzają do wykorzystania specyfiki telewizyjnej. Większość reżyserów korzysta z aparatury telewizyjnej jako ze środka przekazu przedstawienia na odległość, a nie jak z klawiatury, na której wygrać można coś więcej.

Tak więc nie pozostawało nic innego, jak odnotowawszy przeciętny poziom spektaklu, cieszyć się świetnie zawiązaną przez Gogola intrygą, błyskawicznym charakteryzowaniem postaci w niej występujących i genialnym zmysłem obserwatorskim pisarza, który pozwolił mu nawet poprzez to małe grono karcianych szulerów ukazać kawałek życia w jego autentycznym blasku.

Tytuł, w jaki opatrzyłem ten mój felieton, można uznać za najkrótsze streszczenie „Graczy". Świetność pomysłu Gogola polega na tym, że nie próbuje kamuflować szulerskich zamysłów swoich bohaterów. Od początku prawie odsłaniają oni swe prawdziwe oblicze, a mimo to udaje się autorowi rozsmakować nas w toczącej się na naszych oczach rozgrywce. Jeżeli ze swoistą satysfakcją przyjmujemy puentę sztuki, to nie ze względu na ukaranie szulera. Zwycięzcami w tym turnieju są również szulerzy, sprawiedliwość nie triumfuje. Nie znajdując zatem w sztuce zaspokojenia naszych oczekiwań typu moralnego, bawimy się sprawnością, z jaką przeprowadzona zostaje mistyfikacja, zmierzająca do ograbienia franta przez frantów.

Aktorzy, których wybitny wkład w ten spektakl już podkreśliłem, wydobyli również istotne wartości tkwiące w wysmakowanym, kunsztownym języku, jakim przełożył „Graczy" na polski Jerzy Wyszomirski. W „Życiu Warszawy" wyczytałem ze zgrozą błędnie podane imię tłumacza. Przypisano przekład Józefowi Wyszomirskiemu, reżyserowi teatralnemu, który — dalibóg — nie trudni się translatorstwem.

Pomyślałem sobie zatem, że może warto przy okazji wspomnieć nieżyjącego już od dwudziestu trzech lat zasłużonego tłumacza literatury rosyjskiej i radzieckiej (m. in. przekłady z Hercena, Lwa Tołstoja, Maksyma Gorkiego, Polewoja, Simonowa). Na łamach łódzkiego czasopisma szczególnie przystoi bronić Jerzego Wyszomirskiego przed zapomnieniem, gdyż właśnie z Łodzią związane było ostatnie dziesięciolecie życia i twórczości tego przed wojną wileńskiego pisarza.

Starsi łodzianie pamiętają pełne urody felietony Wyszomirskiego drukowane w latach powojennych na łamach „Dziennika Łódzkiego". Sam miałem zaszczyt jako początkujący dziennikarz być kolegą redakcyjnym „Wysza", a w ostatnich miesiącach jego życia odwiedzałem go często w jego mieszkaniu przy ulicy Mickiewicza 8. Zastawałem go przeważnie zatopionym w pracy przekładowej, którą uprawiał z rzadko spotykaną rzetelnością i wiernością w stosunku do oryginału. Odrywał się od tej pracy, by prowadzić ze mną długie, niezmiernie pouczające dla mnie rozmowy. Myślę, że Czytelnicy zrozumieją moje intencje, które kazały mi się upomnieć o pamięć dla Jerzego Wyszomirskiego.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

NA DWOJE BABKA WRÓŻYŁA, CZYLI TRAKTACIK O PRZEPISACH

Wybacz, Czytelniku, że sięgnę pamięcią w odległą przeszłość, aż do zarania lat dwudziestych, gdy jako obiecujący młodzieniec zeznawałem w charakterze „koronnego" świadka przed Sądem Grodzkim w moim rodzinnym mieście. Po złożeniu przysięgi opisałem szczegółowo znane mi fakty — nie mając jednak doświadczenia w dziedzinie jurysdykcji, ośmieliłem się wyciągnąć z tych faktów odpowiednie wnioski.

— Dlaczego świadek tak sądzi? — spytał sędzia.

— Dyktuje mi to logika — zauważyłem skromnie.

Rzecznik wymiaru sprawiedliwości uśmiechnął się:

— Czy świadek przypuszcza, że każdy przepis prawny musi być logiczny?...

A oto po upływie półwiecza byłem zniewolony mężowi w sędziowskim birecie przyznać świętą rację.

Tak się bowiem złożyło, że bliska mi osoba, Eskulap w spódnicy, ukończyła dwudziesty piąty rok pracy zawodowej. W myśl obowiązujących przepisów przysługiwała jej zatem jubileuszowa gratyfikacja. I tu wyłonił się ważki problem. Zasłużona jubilatka przepracowała w pełnym wymiarze godzin 298 (słownie dwieście dziewięćdziesiąt osiem) miesięcy, natomiast dwa miesiące, poprzedzające srebrne gody z medycyną — na tak zwanym „półetacie". No, i księgowość, trzymając się ściśle przepisów, obliczyła nagrodę pieniężną na podstawie zarobków z... ostatniego miesiąca, to znaczy, zmniejszyła ją niemal o połowę.

Rzecz jasna, że przepis został wydany na korzyść jubilata, albowiem najwyższy zarobek uzyskuje się po kilku awansach, właśnie w przeddzień jubileuszu. W tym wypadku okazało się jednak, że przepis może być interpretowany na szkodę zainteresowanej osoby, choćby się to kłóciło ze zdrowym rozsądkiem, czyli zasadami prawidłowego myślenia. Zresztą stanowisko księgowości w pełni poparło — acz w formie nader uprzejmej — resortowe Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej.

Aliści przypadek zrządził, że bezpośrednio po opisanym epizodzie z życia i kariery zawodowej bliskiej mi osoby, mogłem się przekonać na własnej osobie, że przepis nie zawsze bywa respektowany. Pod koniec Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy zostałem zaproszony do odbycia wieczoru autorskiego w Klubie Seniora Naczelnej Organizacji Technicznej. Jakież było moje zdziwienie, gdy wbrew obowiązującym przepisom, a więc zarządzeniu ministra kultury i sztuki z dnia 13 marca 1970 r., otrzymałem tylko niewiele ponad połowę należnego mi honorarium. Okazało się, że ta ze wszech miar pożyteczna organizacja ma swoje „wewnętrzne' przepisy.

No, i trzeci kwiatek z bujnej łączki naszej rodzimej biurokracji. Miałem wkrótce możność przekonać się, że istnieją u nas pomniejsze instytucje, które wydają własne, rygorystyczne rozporządzenia. Dla przykładu: w jednym z „Rejonów Obsługi Mieszkańców" odczytałem następujące ostrzeżenie pod adresem inwalidów i rencistów, a więc osób mocno leciwych i w przytłaczającej większości chorych: „Bony na cukier wydaje się do dnia 15 każdego miesiąca". Rejonowy, że się tak wyrażę, przepisodawca nie pomyślał o takich możliwościach, jak wczasy lecznicze, sanatoria, pobyt w szpitalu itp. — skracając samowolnie o połowę ustalony przez władzę termin.

Ongiś w starożytnym Rzymie taki „przepis" zastępowano jakże wymownym przysłowiem: „Sic volo, sic iubeo!"... W naszym ojczystym języku brzmi to nieco inaczej, lecz nie mniej wymownie.

HORACY SAFRIN

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

PORTRET RODZINNY ZE ŚWIĘTYM HIERONIMEM (2)

Ranek rozpromienił nam firankę w oknie. Obudziłem się rześki i jedynie nakryty ciepłym jak pled słońcem. Linka też. Poczuła zdrożną chętkę do swawoli i sama przejęła inicjatywę. Ze względu na jej stan ona była górą, a ja doliną. Swawola stawała się coraz przyjemniejsza... Naraz usłyszeliśmy za drzwiami rumor ciężkich, nieskładnych kroków. Zbliżali się ludzie rośli i mocno objuczeni. Kroki wybiły nas z cudownego rytmu. Znieruchomieliśmy, bo zamarły właśnie nawprost naszych drzwi i rozległ się głos Kornblumenblata: „Żadne tam pukanie, psia mać. Zamknięte, to wyważać łomem i już. Mój lokal nie żadnych tam naukowych zasrańców!"

Niebawem rozległ się na wysokości zamku trzask miażdżonego sztangą drzewa.

— Ależ pa... — zakładałem protest przeciwko brutalnemu naruszeniu podstawowych norm współżycia i praw obywatelskich. Linka jednak natychmiast zacisnęła mi usta ręką.

Kornblumenblat dalej instruował podwładnych:

— Przenosimy przędzę właśnie tędy i bez krępacji! Przygarnąłem tych z ulicy, bo taka była moja łaska, ale od dziś moja łaska się skończyła i ich nie ma dla mnie!

— Ależ... — podjąłem znowu, choć ciszej, bo dławiły mnie razem wściekłość i ta ręka Linki na ustach.

— Niech sobie wchodzą. Ja go dziś zobaczysz jak załatwię! Nie chowaj się i nie wstydź. Niech zobaczy, że właśnie dla nas takiego skubańca nie ma. I zaczęła udawać, że dalej niby robimy swoje.

Z wyraźnej niemrawości w dalszym wyważaniu drzwi można było poznać, że rozwój wydarzeń tamtych najemnych ludzi coraz bardziej peszy. Wreszcie dobiegło nas:

— Szefie, niech szef sobie sam otwiera. My przez cudze nie będziemy przenosić.

„Szef", jak się zdawało, stracił kontenans, stał chwilę za drzwiami w niepewności, jednak upór i chęć zemsty za to, że nie spowodowałem dostania się Teresy na medycynę przemogły. Rozepchnął sztangą futrynę drzwi do końca i siłą rozpędu wpadł do naszego pokoju. Ujrzawszy nas w sytuacji wykluczającej obecność osób trzecich zbaraniał, zadreptał w miejscu i zdusiwszy w ustach jakąś klątwę wyszedł.

Ostatecznie worki wtaszczono, jak zawsze, odkąd zamieszkaliśmy, do warsztatu bezpośrednio z korytarza.

Chamski incydent i świadomość, że właściwie jesteśmy znowu bez dachu nad głową wytrąciły mnie z równowagi tak, że w instytucie byłem w stanie permanentnej wściekłości. Roczne sprawozdanie, które kazał mi profesor napisać z poziomu wiedzy studentów i z efektów naszej pracy, wypadło tak czarno, że stary, wsadziwszy ołówek we włosy, jak miał zwyczaj, gdy był w rozterce, kazał mi je „rozbielić". Powiedziałem, że za nic w świecie. Stary nie jest wielkim demokratą i nie lubi, kiedy mu się asystenci opierają... Pokłóciliśmy się, a że jest pamiętliwy, może to mieć dla mnie na przyszłość nie najlepsze skutki.

Na obiedzie w stołowce w suterenie rektoratu nastrój był pod psem. W lasach nie jest jeszcze spokojnie i jakiś tajemniczy oddział zarekwirował podobno transport żywności, który szedł spod Poznania z przeznaczeniem właśnie na zaopatrzenie stołówek w naszym mieście. „Proszę zaangażować na moje miejsce prestidigitatora, który będzie dostarczał państwu na obiad króliki z cylindra" — sierdziła się kierowniczka na kogoś z rektoratu. Teraz przyszło najgorsze: powrót do siebie na Wapienną. Czekają mnie tam nowe akty chamstwa, a nawet, co nie jest wcale nieprawdopodobne, drzwi od mieszkania zostaną zabite deskami i będę musiał iść aż na milicję, szukać świadków, może podawać do sądu, jednym słowem odstawiać jakąś urzędową pyskówkę z udziałem obcych ludzi, czego nigdy nie robiłem; nikt z mojej rodziny nie robił.

Ale na klatce schodowej panowała cisza, z oszklonych drzwi przylegających do naszej kiszki po przeciwnej stronie nasz sąsiad, wiecznie pijany szewc filozof (często zatrzymuje mnie na schodach i dysputuje de omnibus regus et quibusdam aliis) z wyjątkowo dziś pajaną szewcową śpiewali na dwa głosy: „Od kieliszka, ode dwóch boli głowa, boli brzuch, a od czterech, od pięci, to się trochę zamąci"... Nasze pogruchotane rano drzwi wyglądały, o dziwo, tak, jakby w ogóle włamanie nie miało miejsca. Szczerba po sztandze była porządnie załatana nadbitym prostokątem drzewa, w dodatku pociągniętego farbą w kolorze całych drzwi. Więcej niż zdziwiony zapukałem, chociaż wiem, że Linka po pracy w biurze zagląda tu tylko, żeby się przebrać, i resztę dnia przebywa — ku mojej cichej irytacji — u swoich rodziców... Nikt mi naturalnie nie otworzył, więc wyjąłem z kieszeni swój klucz i, o dziwo skonstatowałem, że z najwyższym trudem daje się wsunąć do dziurki, ale przekręcić nim zamka nie mogę. Za to w szparze znalazłem wetkniętą kartkę: „Wszystko dobrze. Nie martw się. Jestem u rodziców Całuję. Skłonna do grzechu, ale tylko z Tobą".

Do ich domku w pobliżu, na Ołowianej ruszyłem niemal w rytmie mazura.

Jest sporo po piątej. Teść dopiero niedawno przyszedł, zjadł obiad i w drucianych okularach siedząc na stołku jak na koniu czyta „Popularniaka", teściowa zmywa, Wanda uczy się na pamięć jutrzejszej lekcji. Linka, jak zwykle podczas rodzinnych sjest w upał, siedzi na stołku w biurowym fartuchu na bieliznę. Wyciąga w moją stronę leniwym ruchem rękę do pocałowania. Schyliłem się i ku memu zdziwieniu dotknąłem wargami papierek. Zadowolona z efektu, kazała mi zaraz czytać.

Papierek z dwoma pieczęciami: czarną miejską i czerwoną, państwową obwieszczał, że jedynymi pełnoprawnymi użytkownikami naszego pokoju jesteśmy z woli miasta my oboje z Linką i jego odnajemcami nie są odtąd żadni tam Kornblumenblatowie, lecz tylko starostwo dzielnicowe. Teść z kolei spod pudełka z tytoniem wyciągnął parę kluczy — innych niż te, którymi otwieraliśmy drzwi dotychczas. — Mata. — A potem: — Nikt już przez pokój Paulinki i Augustynka nie będzie przechodził wbrew waszej woli. Zamek zmieniłem na mur. Umyślnie się dziś zwolniłem z roboty.

— Tempo, co? Podziękuj teraz żonie — Linka znowu królewskim ruchem podała mi rękę i opowiedziała, jak było w starostwie. Najpierw gość od przyznawania mieszkań widać skumotrzony wzbraniał się dać przydział. „Inicjatywa — gadał — to też ważny resort, podatki wielkie płaci". „Bez inicjatywy i jej podatków nasze powstałe z ruin miasto..." i takie duperele. „...Terefere! Zaraz zobaczymy czyje będzie na wierzchu, pana kumotrowskie czy moje, proletariackiej córki?". I od razu walę do wicestarosty. Z miejsca załatwił, a tamtego chciał od razu na zbitą mordę. Tylko się ujęłam. Cieszysz się?

Pewnie, że tak. A jednak popatrując na błyszczące klucze i papierek z pieczątkami nie mogłem się oprzeć wątpliwości, czy odbieranie Kornblumenblatom pomieszczenia bądź co bądź wypożyczonego nam było pociągnięciem etycznym.

— Augustynek, ech, inteligent jeszcze! Bardziej klasowym trzeba być. A oni niby nie byli klasowi po swojemu tam, no i w porządku, kiedy chcieli kupić tym pokojem egzamina dla swojej córki? A byli niby w porządku skacząc do was z pazurami jak te na Kaukazie zwierzęta barsy? A byli dziś w porządku, kiedy stary wam drzwi łomem rozbijał nikiej ten przed wojną Ślepy Maks? To jest tylko klasowy czysty odpór, bo, Augustynek przecież wie o tym, nie nasz robotnik zaczął pierwszy uciskać, tylko pierwszy fabrykant robotnika i robotnik wyklęty musiał powstać. A czy to fabrykanty prawdziwie wielkie, czy takie pchły fabrykanckie jak ci tu, to u nich w duszy siedzi jeden diabeł.

Teść i Linka temat uznali za wyczerpany, bo żadne z nich już o tym nie mówiło. Teściowa też nie, gdy siadła koło nas na zydelku i zaczęła obrębiać jakieś oranżowe płótno.

— Zazdrostka — poinformowała — gdy wykazałem zainteresowanie. — Do kuchni — uzupełniła. — Odsmaż, Paulinka, twojemu kopytka. Głodny jest po tym wikcie na mieście.

— Chodźmy pomieszkać — szepnąłem Lince do ucha, niespokojny o jutrzejszy dzień.

— W dniu pierwszego września 1939 roku nad ranem samoloty i wielkie siły lądowe Trzeciej Rzeszy znienacka uderzyły na nasz kraj. W dniu pierwszego września 1939 roku nad ranem samoloty i wielkie siły... — wkuwała Wanda przed jakimś szkolnym wewnętrznym egzaminem te tak dobrze jej przecież znane fakty.

Linka odpowiedziała mi zgodliwym uśmiechem i znaczącym uściśnięciem ręki... ale nie ruszyła się z leżaka.

— Załoga polska na Westerplatte... Załoga polska na Westerplatte... Załoga...

Z okna Wasiaków zamrugały tajemnicze błyśnięcia, jakby ktoś telegrafem iskrowym dawał znaki. Młody tata pewnie coś lutował.

Jak tylko sobie uzbieramy mamonę, bo to cholernie drogie rzeczy, to go poprosimy, żeby i nam zorganizował radio. Podobno jakaś fabryka na Śląsku podjęła już wyrób aparatów powojennych. Może więc z czasem pojawią się w sklepach. A wtedy już będziemy pewnie z Linką bogaci. Tylko... co warte jest radio bez Szczepcia i Tońcia i Wesołej Fali?

— Jana, Hysiu Szarzyński — zawołała nagle Wasiakowa — znowu polkę odstawił na weselu u Guzków. Jak dawniej przebrali się, wiesz, za biskupa on za naszego, ona za papiego z brodą. Jak się zbierę, to przyjdę i opowiem detalicznie.

— W dniu pierwszego września 1939 roku nad ranem samoloty i wielkie...

— Wanda zatkała sobie palcami uszy.

— Jana, może chcesz na jutro wasserzupy? Za dużo mi się zrobiło — Koziełulska z drzwi od swojej sionki.

Dzieciaki od Koziełulskich, Wasiaków i pani Floriańskiej bawią się jak wynika z okrzyków i rzucania w siebie czym popadnie, w obronę Westerplatte. Pani Floriańska sama, bo mąż na zmianie, Płucze i skręca bieliznę.

— Hurra! Greiser kaput! Dostał w samo limo! — zbiorowy okrzyk triumfu. Nim przebrzmiał, pełen zgrozy głos Floriańskiej:

— Jezusie Nazareński, królu Żydowski!

I wdrożenie śledztwa:

— Gadajta, choletry, które mi to kałamarz wrzuciło do kolorów? Daligo!

Towarzysze broni nie imponowali solidarnością.

— To Wiolka! Pani Wiolka! Oj, dobrze, dobrze! Pani, gonić ją?

Wiolka — od nieczęsto spotykanego imienia Violetta — prawie już podfruwajka, nie traciła czasu na usprawiedliwianie się. Z okrzykiem: „O Matko Boska Gidelska" zaczęła co sił w nogach uciekać w naszą stronę. Pod skrzydła opiekuńcze chrzestnej, czyli mojej teściowej. Z rozpędu potknęła się o drewniane podwyższenie wokół studni. Znalazła się w pozycji horyzontalnej, wyjątkowo dogodnej dla egzekucji.

— Duchem przyniesta pach! — rozkazała Floriańska Wasiakom.

Oba walczące wojska uczyniły foremne półkole i ze znawstwem oceniały rytuał spuszczania majtek, rytmiczność wierzgania nogami i ceremonię całowania w podzięce karzącej ręki.

Starsi spoglądali na scenę z obojętną aprobatą. Koziełulska zawołała do nas przez podwórze:

— Przyglądajcie się, państwo młodzi, żebyście umiały własne dzieci w posłuszeństwie i bojaźni bożej trzymać.

Wzruszenie ramion Linki i baryton teścia:

— Wy, Floriańska, źle wychowujecie dzieci. Trzeba nie bić, a tłumaczyć, że nie tak a tak.

— Wy, komuniści, toście we wszystkim najmądrzejsze. I w rządzeniu i w chowaniu dzieci. Wy tam pewnie i w odprawianiu mszów tyż jezdeśta mądrzejsze od kanonika — ujęła się za sąsiadkę mariawitka. — Jak ty, Jana, wytrzymujesz z takim racjonerem?

— Adaś, muszę do ustępu — oznajmiła wszystkim, a w szczególności najstarszemu z najmłodszych Wasiaków, wyrostkowi, który cały czas pracowicie wklejał do zeszytu poszczególne elementy rozebranego kwiatu pstanki. — Weź latarkę i poświeć mi w ustępie, bo już ciemno.

Cienie mocno się wydłużyły i zerwał się chłodny wiatr. Nastroszył granatową trawę w ogródku, zamienił włosy Linki w połyskującą i rozrzuconą po niebie Mleczną Drogę. W kwadracie domków i szopek mieszkalnych wszyscy skryli się za zatrzaskiwanymi drzwiami tak nagle jak alegoryczne figurki na zegarach renesansowych ratuszów.

— Chodźmy już! — przypomniałem Lince po raz trzeci. Teraz dość energicznie i nie tylko dlatego, żeby przygotować coś w rodzaju scenariusza jutrzejszych kołokwiów czy że się niepokoję, jak zareagowali Kornblumenblatowie na Linki fakt dokonany. Chodzi przecież głównie o prestiż naszego domu. — Domu, a nie miejsca noclegowego po przesiadywankach podwórkowych. Okazało się jednak, że nie wiem czemu, ale nie wypada jeszcze iść czy coś w tym rodzaju. Jeszcze panuję nad gniewem, ale kiedyś nie wytrzymam i zrobię awanturę jak stąd do Radomia. Przypływ złego humoru sprawił, że postać Linki, dającej mi w tej chwili do zrozumienia gestami i mimiką, że mam się uzbroić w cierpliwość, ujrzałem w kolorach zdecydowanie ciemnych. Nie ceni Domu, siebie nie „odpodwórkawia", za to mnie chce „upodwórkowić". Nie rozumie, że nie wolno marnować, zwłaszcza po opóźnieniach wojennych, kawałka dnia, trzeba czytać, chodzić na odczyty, premiery, koncerty i nie szczędzić zachodów, by wejść do środowisk ludzi interesujących intelektualnie i znaczących. Nie, nie rozumie. Patrzy na mnie, gdy o tym mówię trochę jak na Czesia od „Astrali". Albo wynajduje całkiem mieszczańskie przeszkody, łącznie z tą osławioną od setek lat przez najbardziej sztampową satyrę: „nie mam w czym".

Pociągnęła mnie za rękę. Potykam się w wąskiej sionce o garnki, miski, rynienki i schodzę o pół stopnia niżej do kuchni teściów, a z kuchni do pokoju, zastawionego zsuniętymi łożami i małym stołem. Za stołem z pluszową serwetą opadam z ulgą na kanapę z poduszkami wyszywanymi w pawie i kotki. Teść zapala lampę naftową i natychmiast suknia świętej Bernardki, kiedy tak klęczy pod grotą, przybiera barwę promiennoszmaragdową.

W domu teściów panuje zwyczaj, wydaje mi się, kłócący się z patriarchalnym charakterem ich rodziny. Oto rodzice rezydują w kuchni, a młodzież w pokoju. Nawet i nasze małżeństwo. Zwyczaj się narodził, od kiedy posłano kolejno córki do szkół. Chcieli, by odrabiały lekcje i podejmowały koleżanki w warunkach najbardziej luksusowych z możliwych. Tak już zostało.

Nie idziemy do domu dlatego, ponieważ teściowa szykuje wspólną kolację. Z martadela i „czarnym", którą tata nazywa wędliną robociarską.

Ogłoszone raptownym brzękiem brytwanek w sionce, wbiegły do kuchni, i stamtąd do pokoju, Marta i Romka. Przyjechały wprost z wesela ciotki Rogalińskiej z Kwiatkowic i przynoszą najświeższe wieści z placu boju. Linka pokłada się ze śmiechu, Wanda też jej wtóruje. Patrzę na obie ze zdumieniem: Linki nie widziałem jeszcze aby śmiała się do rozpuku, o Wandzie sądziłem, że się w ogóle nie potrafi śmiać.

Ciotka Rogalińska szła bez welonu. Za nią postępowały dzieci z pierwszego małżeństwa. Ciotka Agata spóźniła się. „Bu-buu-buuu — łomotała w drzwi kruchty. Ksiądz obziera się i jak nie rozedrze się od ołtarza. Obtańcował mamę jak święty Michał kacapa. „Myślisz — powiada — że ja tam będę na jedna z druga miastowa z Sakramentem czekał. Ślub to jest uroczystość, a nie dyrdanie w tańcu! Ja gardła na loterii, tak ja obtańcowywał, nie wygrałem, żeby szczęki drzwi przekrzykiwać"... Mama niewąsko sobie podhumorzyła. Chodziła o tak! — Marta zatoczyła się od stołu do łóżek i przewróciła po drodze krzesło.

Romka, jakby nie biorąc w przedstawieniu udziału, pochyliła się nade mną ze zdziwieniem z domieszką współczucia:

— Kupiłam dziś tego „Inżyniera Dusz", ale nie znalazłam Augustynka przekładów z greckiego, tylko same przekłady jakiegoś Błoka zrobione właśnie przez pana, co był na Augustynkowych imieninach. On przecież obiecywał, że zaraz Augustynka będą drukowane. Prawda?

— Franc. Romka ciągle o tym redaktorze Francu. Romka zakochała się we Francu i będzie miała Francal francą! — Marta zaczęła się wygłupiać, zapomniawszy, że jest dziewczyną. — A wujo Franek, ten cieśla, bo właśnie stawia u nich stodołę, tak śpiewał przy tańcu — Marta śpiewa:

Kurza noga, świńskie nóżki,
a jak krowa masz cycuszki,
O Leonoro!

Naraz rozległ się w słońce zbiorowy szczęk garnków i rynienek i z sionki do kuchni, a z kuchni do pokoju wbiegła ciotka Agata. Marta i Romka zrobiły momentalnie buzie w ciup, ręce w maldrzyk.

— Choletra z dziewuchami! Daligo do domu, nie po kominkach! Musiałaś Marta coś Romce powiedzieć, bo ślobrze! Pewnie młócisz niewyparzoną gębą, a Augustynek wykalkuluje, że jesteś świnia! A ty jesteś dziad kalwaryjski, a nie wujo — to do teścia który stanął w drzwiach — Widzisz, że dziewucha farmazoństwa wyprawia i pachem jej nie przeżegnasz! No, marsz do domu robić kolację sobie i tatusiowi, a ja zaraz za kawałek przyjdę i zobacze jak się rzadzita!

Siadła z nami do stołu, już w kuchni, i apetyt miała jak przed weselem.

— ... A najinteligentniejszego oberka to z księdzem tańczyłam. Powiedział mi pod Bogiem: „Gdyby nie to, że się wzuło sukienkę i ślubowało Wszechmogącemu, to bym w życiu jednej jedynej kobiecie ślubował — pani!"

Linkę musiało coś zaniepokoić w moim wyrazie twarzy, bo szepnęła mi na ucho, że jak tylko ciotka wyjdzie, to już bezapelacyjnie pójdziemy pomieszkać.

cdn.

Kariera „EKSPRESU REPORTERÓW"

Spośród przedsięwzięć Krajowej Agencji Wydawniczej „Ekspres reporterów", już w pierwszych dwóch latach istnienia zdobył sobie chyba największą — zaraz po opowiadaniach sensacyjno-kryminalnych — liczbę zwolenników. Jak to się stało, co sprawiło, że „Ekspres reporterów: niemal od razu osiągnął czytelniczy sukces?

W redakcyjnym wstępie do pierwszego tomu „Ekspresu" czytamy: „Tylko od życia można się nauczyć, jak żyć. Innej drogi nie ma. Reportaż był i pozostaje najlepszą lekturą dla ciekawych życia, dla poznawania rzeczywistości. Założeniem serii jest właśnie przypomnienie i spopularyzowanie najciekawszych problemów gospodarczych, społecznych, ludzkich...". Ziarno trafiło na dobry grunt. Bo z jednej strony wiadomo, że czasy dynamiczne, pełne przemian i sprzeczności sprzyjają rozwojowi tego najbliższego życia i pulsu przemian gatunku, z drugiej strony natomiast moda na czytanie dobrych reportaży nie słabnie; zresztą nierzadko stanowią one najmocniejszą stronę pism uznawanych za „literackie"... Powołując do życia serię tomików złożonych wyłącznie z reportaży, KAW wyszedł więc naprzeciw zapotrzebowaniu, zarówno ze strony autorów, jak i czytelników. To jedna przyczyna sukcesu. A inne?

Wspólnym założeniem wychodzących w serii reportaży miało być nie tylko „ukazywanie istotnych wydarzeń", „opisywanie obok niewątpliwych sensacji — niecodzienności tkwiącej w codzienności", ale również wskazywanie tego, co — jak powiadają założyciele — „zasługuje na wyróżnienie, uznanie, zdziwienie, albo dezaprobatę". Jedne opisywane przez reporterów sprawy miały być „przestrogą dla innych", drugie zaś miały ukazywać zjawiska pozytywne, popularyzować postawy godne naśladowania. Właściwe proporcje w doborze wszystkich składników, wartości poznawczych, estetycznych i poniekąd wychowawczych już od początku istnienia serii zapewnia dobrany zespół redakcyjny i autorzy, wszyscy rekrutujący się z krajowej czołówki tego gatunku... Weźmy dla przykładu tomik pierwszy, przy lekturze którego czytelnik miał okazję zakosztowania całej gamy wymienionych tu wcześniej uczuć i doznań. A więc podziwu, uznania i szacunku dla odwagi oraz poświęcenia tatrzańskich ratowników (w reportażu Wojciecha Adamieckiego), czy dla trudu polskich stoczniowców, twórców wielkiego doku pływającego i marynarzy holujących dok przez Bałtyk (w reportażu Jakuba Kopcia), z drugiej strony zaś dezaprobaty dla cwaniaków, aferzystów i oszustów z reportażu Andrzeja Gassa, zatytułowanego „Życie na błysk".

O reportaże wywołujące podobnie zróżnicowaną skalę reakcji i wrażeń starano się komponując także następne tomiki „Ekspresu", przy czym nazwiska autorów i tematy, reklamowane odpowiednio wcześnie i chwytliwie na okładce, gwarantowały na ogół wysoki poziom. Zapowiedzi potwierdzały się w ciągu kolejnych lektur. Owa konsekwencja w doborze autorów i tematów, popartych odpowiednią reklamą (zastrzeżenia budziła jedynie regularność pojawiania się „Ekspresu") — to na pewno następne źródła powodzenia serii. W międzyczasie, w ciągu roku 1977, „skoczył" nakład wydawnictwa (z 20 do 60 tys. egzemplarzy!), co jest widomym dowodem uznania pomysłu przez czytelników, po roku zaś życia „Ekspresu" ci sami czytelnicy powitali w księgarniach i kioskach „Ruchu" „Ekspres" odmieniony (i to wyraźnie na korzyść): w nowej szacie (kolorowa okładka) i zwiększonej objętości. W kolejnych tomach redakcja apeluje do czytelników o współredagowanie serii, o nadsyłanie konkretnych propozycji tematów i autorów, a całą tę korespondencję relacjonuje na łamach „Ekspresu", dając pośrednio wyraz nadziei, że z czasem uda się jej osiągnąć pełną zgodność z oczekiwaniami i zainteresowaniami czytelników. Temu samemu celowi służy inna nowa rubryka: „Gwiazda Ekspresu reporterów", której założeniem nie jest wszakże prezentowanie „gwiazd" ogólnie znanych i wielokrotnie opisywanych, ale „kreowanie" nowych i to najchętniej w oparciu o postaci wskazane przez samych czytelników. Te nowe, wywołujące czytelników z anonimowego tłumu, rubryki, staranniejsza kompozycja tomów, większa objętość i przyciągająca uwagę okładka (przy cenie książeczki zwiększonej zaledwie o dwa złote!) — wszystko to wydatnie zwiększyło atrakcyjność „Ekspresu" i bez wątpienia przyczyni mu kolejnych czytelników. Zaś dla badaczy polskiego reportażu seria ta jest i będzie prawdziwą panoramą możliwości, stylów i form panujących w tym gatunku... Skoro zaś już o tym mowa, dodajmy, że wśród kilkudziesięciu autorów, którzy przewinęli się przez „Ekspres", znalazło się również dwóch łodzian. Drugi wydany w tym roku w nowej wersji tom „Ekspresu" otwiera reportaż Andrzeja Makowieckiego „Prawdziwie polskie drogi", będący plonem podróży tego znanego reportera i prozaika po Ameryce Południowej. Z świetnym nerwem narracyjnym opowiada w nim Makowiecki o powikłanych losach polskiej emigrantki i jej rodziny... Natomiast w trzecim tegorocznym numerze „Ekspresu" łódzki dziennikarz, autor książki „Prawdziwe nieprawdopodobne", (której tytuł mógłby być zresztą mottem „Ekspresu"), Konrad Turowski, barwnie opowiada o głośnym fałszerzu banknotów. Oba reportaże, jedne z najlepszych, jakie się dotąd w „Ekspresie" ukazały, jak i całą serię, gorąco polecam.

T.S.

zdarzenia i zwierzenia

BAL WAMPIRÓW

Satyrę mamy u nas taką bardziej bezosobową. A to fabrykę się jakaś (broń Boże z nazwą!) zawstydzi, że puszcza ścieki do rzeki. Przypadkowo wyszedł mi tu rym, ale niektórym satyrykom też rymy wychodzą przypadkowo. Albo wycieczce zakładowej (broń Boże z nazwą!) naurąga się, że uczestnicy piją na grzybobraniu... Coś tam jeszcze zostaje: frasz ka na ekspedientkę, satyrka na biurokratę...

Są to teksty szczególnie cenione przez redaktorów... I tu znów rym mi się narzuca, ale zrezygnuję, bo to przecież felieton, nie satyra wierszowana.

Czytelnicy jednak — zdaje się — znacznie mniej cenią tę papkę rymowaną. I właśnie dlatego satyryczne rymowanki ukazują się w nakładach dziesięciotysięcznych, natomiast ambitna poezja satyryczna w nakładach dwutysięcznych.

Jeśli łaskawy Czytelnik w powyższym akapicie dostrzeże brak sensu i logiki, to — przepraszam — ale nie moja wina. Tak po prostu jest.

Uwagi te nasunęły mi się gdy przeczytałem „Bal wampirów" Ryszarda Marka Grońskiego. Wszystko się zgadza — zawartość myślowa duża, nakład mały. I to jest słuszne.

Czas jednak biegnie szybko. Zanim w tomie ukazał się wiersz głoszący że

„Bryll poszedł w dyrektory...
Czas obwieścić to wszem,
Że najlepiej się z Londynu
Tęskni za Mazowszem..."

— to Bryll zdążył wrócić do kraju. Ale ponieważ zgodnie z tradycją i tu poszedł w dyrektory, więc właściwie pointa wiersza nadal jest aktualna. Pointa, która brzmi:

„Nie ma co łamać dłoni...
Chcieliście, więc macie
Twórców zaangażowanych
Na pełnym etacie."

W czasach, gdy satyra wyprana jest chemicznie ze złośliwości, wiersze Marka Grońskiego, zwłaszcza te personalne są rzeczywiście dużą frajdą. Ktoś powiedział, że nic nie jest tak nowe i odkrywcze, jak to, co zostało zapomniane. Otóż Groński otwiera przed nami zapomnianą kartę polskiej satyry. Udowadnia, że można, że warto, że trzeba nawet mówić o sprawach i ludziach wprost. Byle dowcipnie.

A to Marek Groński potrafi. Jak choćby w wierszu, który jest wyrazem fascynacji metodą twórczą Włodzimierza Sokorskiego, który potrafi w jednym zdaniu przejść od zwiewnych wspomnień erotycznych do krzepiących postulatów.

„W huku dział i w zebrań dymie
Me zasługi wymierz...
Miłość jedno ma dziś imię —
Sokorski Włodzimierz."

Pamiętam sprzed lat wstrząsający wiersz Grońskiego o Bablu. Szukałem więc i w „Balu wampirów" wierszy w tej tonacji. Dobrze się stało, że znalazły się one w najnowszej książce poety. I długo zapewne będę pamiętał wiersz poświęcony pamięci plastyka, komunisty, Mieczysława Bermana, autora głośnych kongenialnych fotomontaży.

„Warszawski bruk — Łódź robociarska
„Czapka frygijska" — stare dzieje
Gdy krwią komentarz był do Marksa...
Ja nie ze szkoleń znam idcę.
Tu jest mój dom. Nie kąty cudze.
A dróg splątanych — nie rozplątasz...
Okruchy zdarzeń, wspomnień, złudzeń
I śmierć — ostatni fotomontaż."

Cykl „Kolekcja" zawierający te właśnie gorzkie i mądre liryki, jak „Ballada o weteranach", jak „Miejsce", „Magia", „Kolekcja" — wzbogaca książkę Marka Grońskiego o inne, głębsze tony.

Nie piszę „nowe" tony, bowiem ów nurt liryczny jest w poetyckiej twórczości Grońskiego obecny od dawna. Kto wie — może właśnie równorzędność owych dwu nurtów decyduje o oryginalności tej poezji. Dowcip, kalambur, niesłychana sprawność warsztatowa rodem z najlepszych tuwimowskich tradycji — z jednej strony, z drugiej zaś głębia refleksji, sól, gorycz i ocet — sprawiają, że jest to poezja poruszająca i oryginalna.

I jako taka zasługuje na poetycki nakład. I to jest słuszne.

WIDOK

propozycje

SZMACIAK GAŁĘZISTY

Każdy wytrawny wędkarz, niesłusznie niekiedy zwany rybakiem, wie, że dla uzyskania dobrego połowu trzeba znać miejsca, w których żeruje ryba. Wytrawny wędkarz poznaje takie miejsca po sobie tylko wiadomych znakach, często też podpatruje innych, którzy w danej okolicy bywają częściej i łowią tam dłużej. Wędkarze na ogół nie lubią zdradzać miejsc swoich połowów i zapytani przez naiwnego, a początkującego łowcę ryb wskazują inny, mylny kierunek.

Zdarzają się jednak ludzie złośliwi, żeby nie powiedzieć: wredni. Pewien zazdrosny o swoje miejsce wędkarz postanowił zniechęcić wszystkich następców, którym zaświtałaby myśl łowienia w „jego" miejscu. W tym celu potłukł butelkę i ostre szkło poukładał na dnie rzeki, w miejscu gdzie trzeba wejść do wody w butach lub nawet boso. Byłem właśnie świadkiem jak taki następca wyjmował szkło z dna rzeki.

— Patrz pan, co za świnia. Całe szczęście, że zobaczyłem to szkło wcześniej niż włazłem tu w butach. Całe buty byłyby do niczego. Szmaciak gałęzisty a nie wędkarz!

Epitet był tyle oryginalny co zaskakujący. Mówi się czasem o kimś: „szmata nie człowiek", ale żeby mówić „szmaciak gałęzisty" z tym zetknąłem się po raz pierwszy. Ale i nie ostatni.

Obrodziły w tym roku grzyby niespodziewanie. Jak oświadczył reporterowi „Głosu Wybrzeża" kierownik Zakładu Produkcji Spożywczej „Las" w Kościerzynie — Grzegorz Paczkowski w ostatnim tygodniu sierpnia skupiono w 27 punktach w okolicach Kościerzyny 20 ton prawdziwków. Grzybów więc było mnóstwo i zbierał grzyby kto tylko mógł, miał czas i ochotę.

Spotkałem takiego grzybiarza. W plastikowej torbie miał kilkanaście grzybów. W zasadzie w takiej torbie grzybów nie powinno się nosić, ale w końcu to jego sprawa.

— Ładne grzyby — powiedziałem.

— Ładne — potwierdził.

— Same prawdziwki.

— Innych nie zbieram.

— Inne też są dobre.

— Ale nie dla mnie. Ja innych nie uznaję.

— Nawet krawców, zwanych też borowikami czerwonymi, albo koźlarzami czerwonymi, czy kozaków, zwanych też koźlarzami, babkami, borowikami kozakami? To przecież rodzina prawdziwków, do której też należy podgrzybek. Wszystko bardzo smaczne grzyby i trudno pomylić je z trującymi.

— Ja takich nie uznaję. Jak zobaczę takiego grzyba to kijem go przewracam, nogą kopię, rozdeptuję.

— Ale inni zbierają takie grzyby.

— Co mnie tam inni obchodzą.

Tym razem sam pomyślałem: „szmaciak gałęzisty", żeby nie powiedzieć: „świnia". Ale zaraz się zreflektowałem, że przecież taki szmaciak gałęzisty to w gruncie rzeczy doskonały grzyb jadalny, mało raczej u nas znany. Po łacinie nazywa się „sparassis crispa". Wyglądem przypomina — jak podaje „Mały atlas grzybów" dr Alberta Pilata — „zabarwioną na brązowożółto główkę kapusty". W smaku przypomina orzechy. Rośnie latem i jesienią w pobliżu drzew iglastych. „Może być przyrządzany — pisze dr Albert Pilat — w każdy sposób właściwy dla grzybów i zawsze dobrze smakuje". Można go też przez czas dłuższy przechowywać w stanie świeżym. W tym celu — radzi dr Albert Pilat — należy szmaciaka gałęzistego włożyć „do naczynia z wodą, trzonem do dołu i przechowywać w piwnicy". Jest to grzyb nie tylko smaczny, ale i dla posiadacza bardzo wygodny, można bowiem „w miarę potrzeby, od większych sztuk odcinać kawałki grzyba i przyrządzać do jedzenia". Osiąga ten grzyb wysokość 20 cm, a szerokość 30 cm i wagę do 6 kg.

I czy mianem takiego smacznego i pożytecznego grzyba można nazywać ludzi, którzy nie potrafią myśleć o innych i którym się zdaje, że tylko oni są sami na świecie i im, tylko im wszystko się należy? To prawda, że gatunek takich ludzi rozgałęził się ostatnio i bujnie się pleni, ale czy zaraz muszą być podobni do szmaciaka gałęzistego? Tym bardziej że jest to grzyb dosyć rzadki i mało znany. Niczym on sobie nie zasłużył, aby być synonimem egoistów, sobiepanków i wszelkiego rodzaju aspołecznych typów.

Na urlopie, kiedy człowiek usiłuje oderwać się choć trochę od spraw codziennych, odpocząć „na łonie natury" — przyznajmy ostatnio niezbyt życzliwym dla odpoczywających, bo mokrym i zimnym — takie przypadki egoizmu wydają się bardziej ostre, wyrazistsze. A przecież przychodzi nam niekiedy na co dzień obcować z ludźmi, którzy potrafią dbać i myśleć tylko o sobie. I nie rozumieją, że czyniąc tak, czynią to kosztem innych. Czy zawsze nie rozumieją? Może czasem nie chcą rozumieć, bo tak im wygodniej. Ale przecież nam wszystkim nie wolno godzić się z takimi postawami. Po prostu nie wolno.

MARCIN RODAK

KINO MORALISTÓW

W historii filmu polskiego trudno poza tzw. „szkołą polską" wyróżnić okres charakteryzujący się tematyczną, problemową, a wreszcie formalną jednolitością utworów. We wczesnych latach 60 zjawiskiem mocno wyodrębniającym się jest filmowa twórczość Jerzego Skolimowskiego — jako scenarzysty (począwszy od „Niewinnych czarodziejów" Wajdy) i reżysera (na „Barierze" kończąc). Zarazem okres ten i późniejszy to epoka ekranizacji wielkiej i popularnej literatury i, jak zwykle, pojedynczych nazwisk. Sytuacja zmienia się na początku ostatniego dziesięciolecia: filmy Zanussiego i Żebrowskiego („Za ścianą", „Szansa", „Ocalenie") tworzą osobny nurt, zwiastując zainteresowanie kina tematyką jeżeli niezupełnie mu obcą, to dotychczas na pewno marginesową. Bohaterem staje się codzienność, współczesna powszedniość życia widziana w perspektywie wartości i wyborów moralnych. W wymienionych filmach problematyka moralna wyprowadzana była z sytuacji oglądanych pod mikroskopem, fabularnie adramatycznych. Powszednie kontakty bohaterów rodziły konflikty elementarne, wewnętrzne — nie dające się dopasować do żadnej statystycznej miary. Unikając roztrzygnięć filmy te stawiały pytania podstawowe: o konieczność ciągłej rewaloryzacji zasad, o miejsce indywidualnej oceny i wyboru w świecie społecznego obyczaju; apelowały o codzienną wrażliwość moralną. Swoje przesłania uzasadniały wyłącznie poprzez rejestrowane szczegółowo cechy współczesnej kultury. Opozycje tkwiły już gotowe w świecie filmowanym, co akurat w tym przypadku nie ułatwiało ich ujawnienia. Filmy te, mimo swej odrębności, znalazły problemową kontynuację w fali utworów będących rezultatem powszechnych nawoływań o temat współczesny w kinie (lata 1974/5). Zapoczątkowały zjawisko, które w wielu — często całkowicie różnych wariantach — stało się najistotniejszą cechą filmu lat siedemdziesiątych. Jest nim obce dotąd naszemu kinu wyczulenie na problematykę moralną. Zmienia się jednak perspektywa — w dalszym ciągu indywidualna i subiektywna, ale bardziej zdecydowanie otwarta na problemy społeczne, ogólne — widziane także w skali historii współczesnej. Cechą wspólną byłaby tu obecność szczególnej opozycji, rzeczywistość jawi się jako zbiór stałych, funkcjonalnych reguł — pozornie nie budzących wątpliwości, oczywistych, trwale przyswojonych. Reguły te decydują o funkcjonowaniu społeczeństwa. Bohaterowie wprowadzani w ten gotowy już świat nie podejrzawają nawet, że może on w pewnej chwili zażądać od nich określenia własnego stanowiska — i że nie będzie to wcale sprawa prosta, że codzienne, bezrefleksyjne bytowanie kryje niebezpieczeństwo, iż coś ważnego zadecyduje się bez ich wiedzy, że granica pomiędzy uczciwością, a obojętnością nie jest zaopatrzona w żadne sygnały ostrzegawcze, że wydarzenia nieindywidualne o wiele trudniej dają się zapisać na prywatny rachunek, a tylko na nim mogą być rozliczone.

Bohater „Personelu" Kieślowskiego staje przed wyborem w gruncie rzeczy przypadkowo. Żadne jego działania nie miały wpływu na sytuację, która wkłada mu do ręki kartkę, mogącą stać się donosem. Konieczność takiego wyboru nie pyta bohatera o zdanie — istniała niezależnie od niego, jako rezultat czegoś niedostrzegalnego, na co wcześniej nie można nie dać zgody. Młodzi bohaterowie „Zdjęć próbnych" Holland, Domaradzkiego i Kędzierskiego mogą popełniać pomyłkę i traktować świat sztuki jako wyspę w rzeczywistości już wizualnie zdradzającej oznaki atrofii uczuć — dopóki nie okaże się, że przepustką na nią musi być zaprzeczenie sobie — tu właśnie gdzie spodziewali się zapotrzebowania na autentyzm nie tyle faktów, co wartości. Moralnym doświadczeniem bohaterki „Człowieka z marmuru" Wajdy może stać się przekonanie o indywidualnej, osobistej odpowiedzialności pojedynczego człowieka — w wymiarze konfliktów makro. Dyrektor Bednarz z „Blizny" Kieślowskiego bierze właśnie moralną dwuznaczność swoich działań na własny rachunek — dyrektorski i prywatny, mimo że tradycyjnie miałby szansę stać się filmową postacią jednoznaczną. „Wodzirej" Falka stawia pytanie o cel właśnie dlatego, że jest klinicznym zapisem świata totalnie spragmatyzowanego. Musi być to pytanie moralisty, bo przecież pragmatyka jest na te wątpliwości najskuteczniej odporna. W intencji filmu „Nie zaznasz spokoju" Waśkowskiego zawiera się pytanie o społeczną genezę zjawiska przestępczości — jest to jednocześnie pytanie o społeczną moralność, o wartości. Natomiast w realizacji jest ono niestety skutecznie obezwładnione przez fabułę. Piwowski — autor „Przepraszam, czy tu biją?" — stara się już poza filmem, w prasowych wypowiedziach przekonać o moralnym przesłaniu utworu, którego świadomość pozostaje jednak obca postaciom. „Czarny" bohater „Rebusa" Zygadły zmienia się co prawda wyłącznie po to, aby „białemu" — zarozumiałemu socjologowi udowodnić jego małość, wyrachowanie i braki w edukacji etycznej — ale jasne jest, że Zygadło także zdradza ambicje moralisty.

Przykłady — niezależnie od ich oceny — można by mnożyć. Jednak już przywołane tytuły pozwalają — poza stwierdzeniem obecności zjawiska — na określenie jego cechy charakterystycznej. Sygnalizowana opozycja: rzeczywistość a bohater — przesądza o rodzaju konfliktów. Nigdy nie są to konflikty pomiędzy indywidualnymi, równorzędnymi postaciami, reprezentującymi przeciwne racje. W sprzeczność wchodzi się albo ze społeczną normą, albo jej reprezentantami, wśród których może się znajdować własna świadomość. Wybory są nie tylko rzadko jednoznaczne, ale i często nie wzbudzałyby refleksji — bowiem nie protest a przyzwolenie zwykło być czymś naturalnym. Film współczesny stara się odkrywać wieloznaczność tam, gdzie spodziewalibyśmy się jednoznaczności. Programowo unika sytuacji ostatecznych. W podstawowej opozycji bohaterem głównym jest zawsze świat. Moraliści w kinie są bowiem nieufni przede wszystkim w stosunku do tego, co otrzymało naszą zgodę w pierwszej kolejności.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

JERZY WALEŃCZYK

Stąd dla niego me sentymenty:
Poeta na jeden guzik zapięty!

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

W MARSZU I W BOJU

Dwukrotny bohater Związku Radzieckiego, gen. armii Paweł Batow opisuje w swych wspomnieniach działania bojowe wojsk radzieckich w czasie drugiej wojny światowej, opowiada o ludziach i czynach słynnej 65 armii, która przeszła, tocząc zwycięskie walki — od Wołgi do Odry i Bałtyku.

Książka zapoznaje czytelnika z koncepcją i realizacją wielu ciekawych operacji, w których uczestniczyła armia dowodzona przez Batowa, opowiada o wielu prawdziwych żołnierzach, dzięki męstwu i mistrzostwu których odnoszono zwycięstwa. Niezwykle interesujące są także rozważania na temat cech dobrego dowódcy, sztuki dowodzenia i wychowania wojskowego, znaczenia płomiennego słowa, które mobilizuje ludzi podczas walki i prowadzi ich do bohaterstwa. Rozważania te są ciekawe, tym bardziej że wyszły spod pióra znanego dowódcy, mającego za sobą trudną szkołę życia. Batow rozpoczynał służbę wojskową w okopach pierwszej wojny światowej, brał udział w zwycięskich kampaniach młodej Armii Czerwonej, jako ochotnik walczył w Hiszpanii.

Pierwsze wydanie książki zostało przychylnie przyjęte przez czytelników. Tysiące listów zawierających opinie i życzenia autor uwzględnił w drugim wydaniu, uzupełnionym i poprawionym, które jest podstawą najnowszego — trzeciego wydania.

Paweł Batow „W marszu i w boju", Wyd. MON, cena 85 zł.

ROZMAITOŚCI ROMANTYCZNE

Tytuł książki: „Rozmaitości romantyczne" wyjaśnia w pewnej mierze jej charakter. Jest to bowiem zbiór różnych gatunkowo i tematycznie szkiców, studiów, rozpraw i gawęd. Jest to zresztą świadome nawiązanie do tradycji romantycznych periodyków, które publikowały rozliczne informacje i ciekawostki przeznaczone dla szerokiego kręgu czytelników.

Tom został skomponowany w ten sposób, aby ukazać nie tylko rozmaitość możliwości interpretacyjnych, jakie daje problematyka i tradycja literacka, naukowa i obyczajowa polskiego romantyzmu, ale i pewną jedność ogólnego planu tej problematyki.

Na uwagę zasługuje wstępny szkic o funkcjonowaniu legend romantycznych we współczesności sygnalizujący zjawisko, które dostrzegalne jest dla każdego, kto próbuje odnaleźć źródła żywych do dziś stereotypów myślenia o stosunku jednostki do zbiorowości, a które Maria Janion nazwała „powrotem romantyzmu i powrotem do romnatyzmu".

Książka Marii Grabowskiej wprowadza czytelnika w pewien sposób myślenia o romantyzmie jako epoce wielogłosowej, epoce Wielkiego Dialogu, który toczył się na różnych piętrach uogólnień i konkretyzacji i w różnych poetykach wypowiedzi literackich.

Maria Grabowska „Rozmaitości romantyczne", PIW, cena 60 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

A. Świderkówna „Siedem Kleopatr", Wyd. Poznańskie, cena 80 zł.
M. Wardasówna „Kościuszko" jeździ po Milwaukee", LSW, cena 60 zł.
J. Drzeżdżon „Wieczność i młodość", LSW, cena 25 zł.
E. Paukszta „Młodość i gwiazdy", Wyd. Poznańskie, cena 35 zł.
H. Rudnicka „Uczniowie Spartakusa", LSW, cena 30 zł.
T. Żeleński-Boy „Reflektorem w mrok", Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej, PIW, cena 80 zł.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 44 i 680-99. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Nr indeksu 26762. Zam. 1985. I-2.